KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN

15.IX.1961

Nr 17 (231)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: To jest Majdanek! ● Ten jeden dzień ● Ludzie i pejzaże ● W kręgu „Kwadrygi" i Czechowicza ● FFP ● „A ja chwalę Lubelszczyznę..." ● Współczesna filozofia teatru ● Rozstrzygnięcie III konkursu „Kameny" ● I in.

MAJDANEK należy do historii

ROMAN ROSIAK

SŁOWA, które szesnaście lat temu napisała w „Medalionach" Zofia Nałkowska, brzmią i oskarżają równie mocno dzisiaj, jak brzmiały i oskarżały wówczas, gdy nad krematoriami niemieckich obozów koncentracyjnych unosiła się jeszcze woń spalenizny. Przypomnijmy je:

„Jeżeli objąć myślą ogrom przyśpieszonej śmierci, jakiej miejscem — niezależnie od działań wojennych — stały się tereny Polski, to obok zgrozy najsilniejszym uczuciem, jakiego doświadczamy, jest zdziwienie.

Uduszono i spalono te nieprzebrane masy ludzkie w trybie najstaranniej przemyślanej, zracjonalizowanej, przyśpieszonej i udoskonalonej organizacji. Nie wyrzekano się przy tym sposobów bardziej dowolnych, amatorskich, odpowiadających upodobaniom indywidualnym.

Nie dziesiątki tysięcy i nie setki tysięcy, ale miliony istnień człowieczych uległy przeróbce na surowiec i towar w polskich obozach śmierci. Oprócz szeroko znanych miejscowości, jak Majdanek, Oświęcim, Brzezinki, Treblinka, raz po raz odkrywamy nowe, mniej głośne".

Nasza wiedza o martyrologii narodu polskiego, jako bohaterskiej walce z okupantem, o niemieckim systemie masowej zagłady podbitych krajów słowiańskich, a przede wszystkim o życiu w obozach koncentracyjnych — daleka jest jeszcze od tego, by mimo licznych publikacji na ten temat można było uważać ją za zadowalającą. Jest to zresztą zrozumiałe, ponieważ badania naukowe znajdują się właśnie w pełnym toku i każdy rok przynosi nowe, cenne materiały, które pozwalają posuwać się krok naprzód w dążeniu do monograficznego opracowania historii lat 1939—1945.

Nie inaczej jest też i z Majdankiem. Wiemy o nim stanowczo za mało, by móc powiedzieć więcej, niż kilka ogólnikowych zdań. Dlatego też zapewne nie będzie zbędne przypomnienie przynajmniej kilku podstawowych faktów i cyfr dotyczących genezy i historii jednego z największych obozów śmierci w Europie. Warto to uczynić tym bardziej, że aktualna sytuacja międzynarodowa postawiła Niemcy znowu w centrum zainteresowania całego świata, każąc w nich dopatrywać się największego niebezpieczeństwa grożącego ludzkości. Militaryści z Bonn zapomnieli widocznie o tym, czym skończył się w dniu 9 maja 1945 roku niemiecki „Drang nach Osten". Trudno natomiast sobie wyobrazić, by społeczeństwo polskie mogło zapomnieć o tym, czego dokonały w naszym kraju rządy „uebermenschów".

Na łamach „Medalionów" Zofii Nałkowskiej producent mydła z ludzkich kości — doktor Spanner stwierdził m. in.:

„— W Niemczech, można powiedzieć, ludzie umieją coś zrobić — z niczego". Tymczasem rolę tego „niczego" odgry-

(Dokończenie na str. 2)

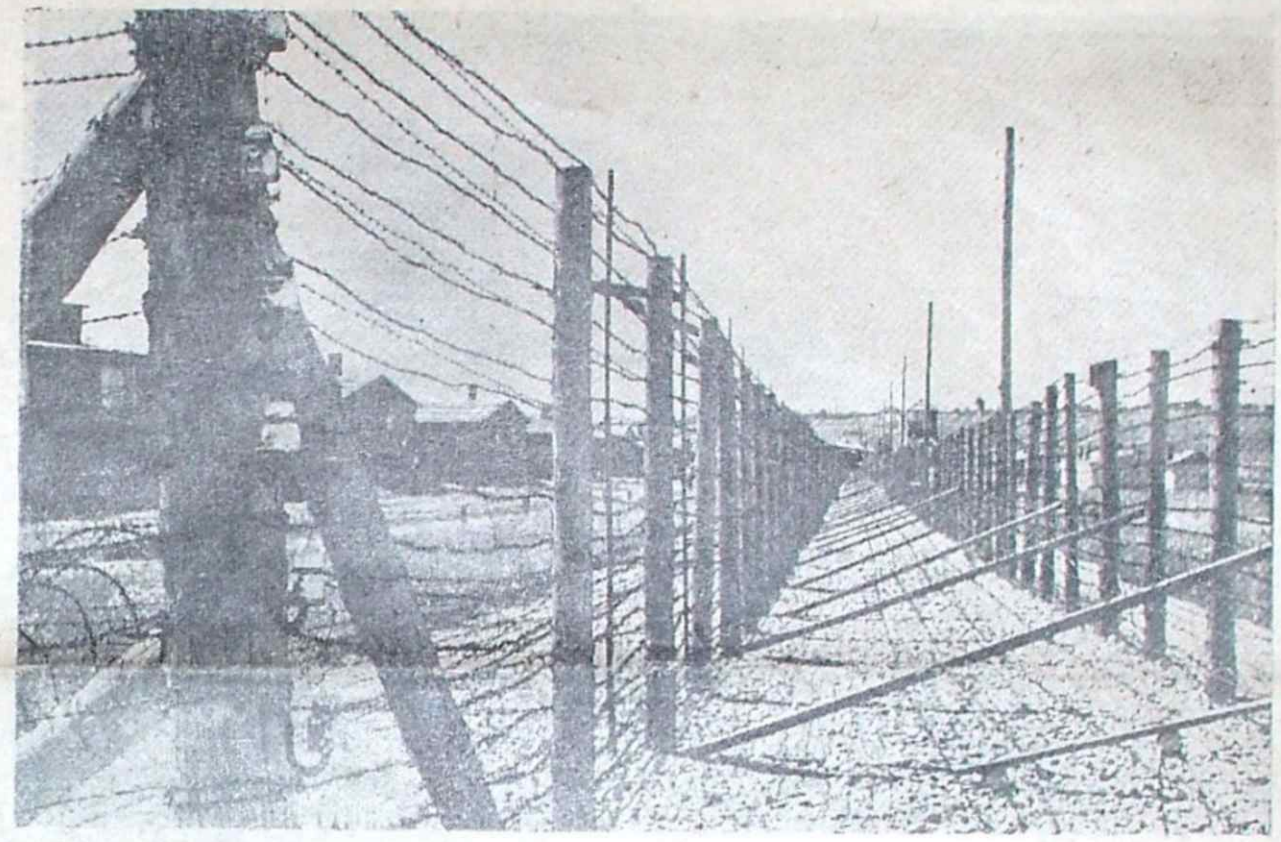

Obóz zagłady na Majdanku.

O Zamościu starym i nowym

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

DRUGIM po Lublinie miastem naszego województwa, albo (jak kto woli) pierwszym między miasteczkami Lubelszczyzny jest bezsprzecznie Zamość. Niejednokrotnie w ciągu czterystu lat swoich dziejów stawał on przed dylematem: być miastem czy miasteczkiem? Na pytanie to różnymi czasy różnie odpowiadano, odpowiedzieć sobie musi także i Zamość współczesny.

Dzisiejszy Zamość to właściwie dwa miasta: jedno z nich nazywane często perłą renesansu polskiego, stanowi miejsce, do którego pielgrzymują corocznie liczne wycieczki — architektów, plastyków i młodzieży, zwabione pięknem zabytków dawnej architektury; drugie — to stolica powiatu, a nawet całej południowej części województwa — miasteczko, którego ambicją jest coraz pełniejszy rozwój i zdobycie tytułu miasta godnego dawnej tradycji, godnego by i dziś pomieścić filię uniwersytetu.

Dwa miasta, a właściwie dwa aspekty, dwa spojrzenia na jedno. Następstwo czasowe wymaga, by poświęcić najpierw nieco uwagi Zamościowi renesansu, Zamościowi przeszłości.

*

NIE piszemy tu przewodnika — notabene przydałby się dobry przewodnik po Zamościu, stare już dawno zdezaktualizowały się, zresztą gdzież ich szukać, a nowego jak nie ma tak nie ma — nie będziemy zatem opisywać ani wyliczać zabytków architektonicznych Zamościa. Prawie każde dziecko w Polsce wymieni je zresztą bez trudu. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę ze stanu w jakim znajduje się większość tych zabytków. Zmienne koleje losów miasta nie oszczędziły prawie żadnej z ważniejszych budowli. Paliły się, nieraz kilkakrotnie, burzyła je nieprzyjacielska (raz nawet polska — w 1809 roku) artyleria i ząb czasu. Kilkakrotnie też przebudowywano te i owe budynki, zaczęto nawet myśleć o odnowieniu całości Starego Miasta. Pierwsza próba miała miejsce w latach trzydziestych i chociaż zrekonstruowano i odnowiono wtedy głównie ratusz, trzeba przyznać, że zrobiono to dobrze. Ratusz jest dziś chyba najlepiej zachowanym budynkiem Starego Miasta. Wspaniałe barokowe schody, attyka, stiuki, tynki, część wnętrza — sprawiają wrażenie odnowionych przed kilku laty. Inne były losy reszty zabytków. Stosunkowo jeszcze najlepiej wygląda kolegiata. W roku 1949 rozpoczęto jej gruntowny remont i doprowadzono przynajmniej wnętrze do pierwotnego stanu. Niestety tylko wnętrze. Z zewnątrz niewiele cech charakterystycznych renesansowej bazyliki zachowało się do dziś, nie zadano sobie trudu rekonstrukcji attyk ani frontonu, odkryto jedynie charakterystyczne obramowania okien. Względnie dobrze zachowany jest też budynek dawnej akademii i oryginalna renesansowa cerkiewka (dziś kościół) na resztkach jednego z bastionów. Zupełnie źle przedstawia się sprawa: pałacu Zamoyskich (dziś sąd), dawnego kościoła franciszkanów (dziś kino) — wzoru wielkiego, wczesnobarokowego kościoła — oraz resztek fortyfikacji (bramy i części bastionów).

Niewiele lepiej wygląda rynek. Jemu też poświęcę nieco więcej uwagi, ponieważ brak miejsca uniemożliwia dokładne omówienie stanu reszty Starego Miasta. Otóż, wstyd powiedzieć, rynek w XX wieku odnawiano chyba ze cztery razy i ani razu dobrze. Ostatnie prace miały miejsce w latach 1958/59. Postawiono sobie ambitne plany zrekonstruowania i remontu całego rynku. To jednak, co wykonano, nie jest ilościowo, a zwłaszcza jakościowo, doprowadzone do szczęśliwego końca. Rynek przed remontami posiadał zupełnie nieźle zachowane podcienia (utarła się taka forma językowa, choć właściwsza jest raczej: podsienia), sienie, sklepy, część portali, rzeźby na frontach kilku kamieniczek i wnętrze — jednej. Zupełnie nie było śladu charakterystycznych attyk ani mansardowych dachów. Wiele też do życzenia pozostawiały wnętrza, naprawdę... zabytkowe, tzn. nie remontowane chyba od czasów imci kanclerza, no i podwórka, prawdziwe rezerwaty śmieci, pełne chyba jeszcze średniowiecznej egzotyki (czytaj: smrodu). Ostatnio zrobiono wiele dla konserwacji wnętrz zabytkowych sklepów, odkryto spod tynków kilkanaście rzeźb i... pomalowano wszystkie kamieniczki. Pomalowano, czy raczej odtynkowano, zresztą tak, że niektóre z nich już dziś proszą o nowe tynki. Nie pokuszono się o rekonstrukcję attyk i dachów — byłaby to zresztą praca żmudna i nad wyraz kosztowna. Co gorsza zaś, nie zrobiono nic w zakresie doprowadzenia do stanu użytkowego wnętrz mieszkań. Więcej: rynek przekształcono w skwerek pełen klombów i ławeczek, zacierając zupełnie pierwotny charakter. W sumie można by uznać prace nad rekonstrukcją starego

(Dokończenie na str. 7)

To jest Majdanek

JERZY SAWICKI

Uprzytomnijcie sobie na chwilę pustkę między dniem a nocą, kiedy księżyc już zaszedł, a słońca jeszcze nie ma, kiedy jest rozlana po świecie mglista szarość poranka i lepka zimna rosa. Zmarznięte, skurczone ciała i dalej nic. Tylko siny dym z krematorium i nic — tylko kolczasty drut i jęk z komory gazowej. Tak dzień za dniem, noc za nocą. Tydzień za tygodniem. Czekasz na swą kolejkę. To jest Majdanek!

Czy potrafiecie zrozumieć ten heroizm matek? Setek matek, które idą dobrowolnie na śmierć z własnymi dziećmi? Patrzycie na ten sznur aut przepełnionych kobietami i dziećmi, jak żegnają się ze swoimi towarzyszkami, życząc im rychłego zwolnienia, to powiewanie chustkami, o którym nam opowiadano. Ten wyjazd jak na wycieczkę jakąś, a za zakrętem już — nicość. Ale to nie straszne. Przed nicością śmierć, a przed nią męka potworna, rozdzieranie z bólu piersi w komorach duszenia. Ale i to nie najgorsze. Najpotworniejsze, to świadomość męki najbliższych, męki własnych dzieci. To świadomość bezsilności matki wobec tej męki dziecka.

Czujecie ją? To jest Majdanek!

Widzieliście kiedyś pewnie w waszych sypialniach dzieci wasze, o takich wielkich, niebieskich oczach i rozszerzonych źrenicach, gdy wieczorem, w ciemnym pokoju, przestraszone już nic nie mówią, nie płaczą, tylko patrzą na was z taką nadzieją, z taką otuchą i wiarą. Te pełne wyrazu niebieskie oczy waszych dzieci. Przychodzicie wtedy, bierzecie je na ręce, kładąc pod miękką kołdrę, swoim tchnieniem ciepła uspokajacie je, usypiacie. Te same niebieskie oczy, te same wyciągnięte rączki dziecięce, ta sama matka, ten sam wzrok matki, ale tchnienie krwi pękniętych płuc. To jest Majdanek!

Oglądałem tabliczki z rysikiem, zapisane do połowy. Pewnie jakaś matka uczyła swoje dziecko w baraku pisania. Może to była dziewczynka o jasnych włosach. Może szczebiot dziecka w tym baraku brzmiał jak świergot ptaka i wyczarowywał na opuchłych z głodu twarzach uśmiech. Napis na tabliczce urywa się na słowach „Droga Mamo". Może w tej chwili właśnie, kiedy matka poczuła się na chwilę szczęśliwa, że dziecko tak do niej pisze, jakiś SS-man zabrał jej dziecko i tylko tabliczka została jej jak jedyna ostatnia relikwia. Ta mała tabliczka to jedyna jej teraz pamiątka. To świętość w obozowym piekle. A tymczasem przyjeżdża z Berlina jakaś Niemka, Frau Mitzi Schmidt, która ma 5 synów, przyszłych kolonizatorów Wschodu, z Hitlerjugend — daje zapotrzebowanie na taką tabliczkę i zabiera jej tę jedyną pamiątkę. Czy czujecie, że serce tej matki, zanim jeszcze poszła do komory gazowej, musiało pęknąć? To jest Majdanek!

Ja poznaję po was, że mnie już nie możecie słuchać. Nie mówcie mi, bym już przestał. Ja was dokładnie rozumiem. Wy bronicie się w ten sposób przed myślą, żeby pozostać tylko sędziami, a nie także wykonawcami wyroku. Pozwólcie mi jeszcze kilka słów powiedzieć. Winien to jestem malcowi-bohaterowi. Stoi mi w tej chwili przed oczyma 5-letni chłopczyk, który trzymał na ręku 3-letniego swego braciszka, kiedy jemu podobnych rozstrzeliwali. Stał z nim na rynku w mieście, kiedy rozległy się wokoło strzały i uspokajał braciszka słowami: „Nie martw się, mój drogi, to nie bardzo boli i długo nie potrwa". Widziałem, jak rozmazywał łzy po policzkach malca, po jego zmierzwionej czuprynce. Widziałem, jak w kilka minut później te łzy mieszały się z cieniutką strugą jasnej, ciepłej krwi. Wybacz mi synu, moją wtedy bezsilność. Bezsilność tylu ludzi dobrej woli.

Takich bohaterów było na Majdanku setki. Któż ich policzy, któż im hołd złoży?

Pozwólcie mi jeszcze wspomnieć, jakie przechodzili męki ci, którym karki zginano i trzymano głowy okutym w gwoździe butem pod wodą. Czujecie ten bulgot ostatniego tchnienia, to napięcie człowieka, który chce żyć i którego ciągle wpychają do wody. Widzicie te obcięte palce jeńców radzieckich, wczepione w ramy aut, skąd byli wrzuceni w doły śmierci. Jaka w nich żądza życia, okrutnie przecięta. To jest Majdanek!

(...) Gdyby oskarżeni rozumieli język, w którym przemawiam, życzyłbym im, proszę Wysokiego Sądu, aby w chwili, kiedy pętla będzie zaciskać się na ich szyi, kiedy ich będą ciągnąć na szubienicę, kiedy ich ciała będą się prężyły w rozkurczu ostatnim, kiedy wydadzą ostatnie tchnienie, aby w tej chwili na szkliwie ich oczu pojawił się obraz bezsilnej matki, która w krematorium tuliła swe dziecko do ostatniej chwili, aby widzieli ją w chwili zgonu, aby widzieli te łzy matki, kiedy pójdą w grób, kiedy rozsypią się w proch — na wieki. To będzie dla nich odpowiednia kara.

(Fragmenty przemówienia prokuratora z procesu zbrodniarzy hitlerowskich z Majdanka w 1944 r., zaczerpnięte z książki „W stołecznym Lublinie", Lublin 1959 LSW).

(Dokończenie ze str. 1)

wały miliony bezbronnych istot, które Niemcy potrafili wykorzystać nawet po śmierci.

Pracę nad budową obozu rozpoczęto już w 1940 roku, przy czym plany przewidywały jego rozbudowę na przestrzeni blisko 300 ha, by mógł on pomieścić jednorazowo około 150.000 więźniów. Rozbudowa Majdanka odbywała się systematycznie i przerwana została zaledwie na kilka tygodni przed wyzwoleniem Lublina. Dzięki specjalnemu systemowi masowej zagłady w obozie tym znalazło śmierć ponad półtora miliona ludzi z 22 krajów. Zniszczenie człowieka za wszelką cenę — to była dewiza, której służyło tu dosłownie wszystko.

Śmierć mogła przyjść w różnych postaciach: więźniów gazowano, rozstrzeliwano, wieszano, duszono, topiono, poddawano męczarniom przez wstrzykiwanie zastrzyków z trucizną, palono w piecach krematoryjnych lub na stosach itd. Egzekucje bywały indywidualne i masowe. W dniu 3 listopada 1943 r., np. rozstrzelano przy dźwiękach muzyki tanecznej blisko 20.000 więźniów. O tym, jak niska była cena ludzkiego życia na Majdanku świadczy fakt, że tzw. „małe" krematorium, które spalało na dobę około 100 ciał — nie wystarczało Niemcom już od początku. Liczba ofiar stale była większa toteż musiano palić je również na stosach. Wybudowano wobec tego drugie krematorium, mogące spalić około 2000 osób na dobę, ale i to nie pomogło. W dalszym ciągu musiano więc obok wykorzystywania komory gazowej i pieców palić ludzi na stosach. Do „Reichu" szły transporty zrabowanych ubrań, biżuterii, pieniędzy, włosów, popiołu ludzkiego, który służył jako nawóz sztuczny, urn z prochami więźniów dla rodzin (po 1000 zł) itd. W ciągu jednego tylko dnia z Majdanka wysłano np. około 40.000 sukienek, spódnic, koszul, spodni i innych części garderoby. W 1943 i 1944 wysłano też blisko tonę włosów ludzkich, przeznaczonych do wyrobu materacy. I wreszcie cyfra, która przerasta swoim rozmiarem: blisko milion par butów zmagazynowanych w barakach na Majdanku, które odkryto po wyzwoleniu.

MAJDANEK NALEŻY DO HISTORII

PRZYTOCZONE tylko przykładowo niektóre cyfry dotyczące Majdanka wskazują wyraźnie na to, że nie był to jakiś obóz drugorzędny, wprost przeciwnie, obóz centralny, międzynarodowy, jedno z największych ogniw w hitlerowskim systemie masowej zagłady ludzkości. Nic też dziwnego, że zainteresowanie dla badań nad historią tego obozu stale wzrasta. Dzięki liczącej ponad 2.000.000 zł dotacji państwa już w przyszłym roku zobaczymy Muzeum na Majdanku w nowej szacie. Opracowany został perspektywiczny plan zagospodarowania Majdanka w celu uczynienia z niego obiektu specjalnego kultu społeczeństwa. Jest rzeczą niezmiernie ważną, że jednocześnie dokonano ogromnego skoku naprzód w dziedzinie badań nad Majdankiem. W dniu 16 lutego 1961 r. podpisany został w Lublinie akt porozumienia w sprawie badań nad historią zbrodni hitlerowskich na Lubelszczyźnie ze szczególnym uwzględnieniem Majdanka. Akt ten zawarty został między: Zarządem Głównym Towarzystwa Opieki nad Majdankiem, Dyrekcją Państwowego Muzeum na Majdanku, Oddziałem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Lublinie oraz Dyrekcją Wydawnictwa Lubelskiego. Celem tego porozumienia jest podjęcie wspólnych prac naukowo-badawczych, redakcyjnych i wydawniczych, które koncentrować się będą w następujących kierunkach: opracowanie i wydanie „Monografii Majdanka", opracowanie i wydanie „Geografii głównych zbrodni hitlerowskich na Lubelszczyźnie", oraz wydawanie prac o charakterze pamiętnikarskim. W celu zabezpieczenia finansowego tej akcji likwidująca się w dniu 31 grudnia 1960 r. Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, w której miejsce powstało Wydawnictwo Lubelskie, przekazała na rzecz funduszu wydawniczego Majdanka 409.250 zł. Dla opracowania perspektywicznego, kilkuletniego planu badań naukowych, a następnie systematycznej ich kontroli powołana została Rada Naukowa Wydawnictw o Majdanku, która wyłoniła 12-osobowe Prezydium w składzie: przewodniczący doc. dr Tadeusz Mencel, wiceprzewodniczący: doc. dr Czesław Madajczyk i dr Roman Rosiak oraz członkowie: prof. dr Juliusz Willaume, dr Zygmunt Mańkowski, dr Andrzej Józef Kamiński, dyr. Czesław Kulesza, dyr. Jerzy Cesarski, dyr. Edward Gryń, mgr Edward Dziadosz, Ryszard Dunin i Jan Orchowski. W chwili obecnej trwają końcowe prace nad przygotowaniem planu, który wymaga powołania specjalnych zespołów roboczych.

Spośród szeregu wniosków i uchwał Rady Naukowej warto zwrócić uwagę na projekt ogłoszenia ogólnopolskiego konkursu na powieść lub pamiętnik o Majdanku oraz założenie kartotek zbrodni hitlerowskich i ruchu oporu na Lubelszczyźnie. Postanowiono wydawać, począwszy od 1962 roku „Biuletyn", na który składałyby się rozprawy naukowe i materiały informujące o aktualnym stanie badań nad Majdankiem. Poszczególne tomy tego wydawnictwa obliczone są na około 10 ark. wyd., przy czym pierwszy numer jest już niemal skompletowany. Za bardzo cenny należy uznać projekt wydania przez Wydawnictwo Lubelskie dwóch pozycji dotyczących Majdanka: przewodnika po Majdanku oraz albumu pt. „Majdanek oskarża". Ta ostatnia pozycja opracowana jest przez R. Dunina i E. Dziadosza i znajduje się w ostatnim stadium przygotowań do druku. Album „Majdanek oskarża" zostanie wydany nie tylko w wersji polskiej, ale również w rosyjskiej, angielskiej, francuskiej, niemieckiej i prawdopodobnie hiszpańskiej, na doskonałym papierze, który umożliwi reprodukowanie wielu cennych zdjęć archiwalnych i dokumentów. W ciągu najbliższych dni ukaże się na półkach księgarskich pierwsza pozycja z cyklu publikacji o Majdanku, które przygotowuje Wydawnictwo Lubelskie — pamiętnik Tadeusza Garczyńskiego pt. „Więzień nr 3873" *). Pod koniec bieżącego roku lub na początku roku 1962 ukaże się także 11 opowiadań Zygmunta Mikulskiego poświęconych Majdankowi. I jeszcze jeden pamiętnik z Majdanka — pióra Tadeusza Czajki pt. „Czerwone punkty" planowany jest również na rok 1962.

Jeśli chodzi o aktualne badania nad Majdankiem — warto wymienić następujące prace, które bądź to znajdują się na ukończeniu, bądź też są poważnie zaawansowane: „Geneza i początki obozu na Majdanku" — Fr. Marciak i J. Marszałek, „Geografia obozu na Majdanku" — Fr. Marciak i J. Marszałek, „Struktura organizacyjna władz obozowych na Majdanku" — Z. Leszczyńska i Z. Murawska, „Numeracja i oznaczanie więźniów" — J. Falgowski, „Skład narodowościowy więźniów b. obozu na Majdanku" — J. Marszałek i Fr. Marciak, „Ochrona obozu" — Z. Murawska, „Transporty więźniów do obozu na Majdanek", Z. Leszczyńska, „Komanda robocze jako przyczynek do pracy więźniów", — J. Marszałek, „Kobiety w obozie na Majdanku — Z. Murawska, „Służba zdrowia" — J. Falkowski, „Jeńcy radzieccy w obozie na Majdanku" — E. Dziadosz, „Dzieci w obozie na Majdanku" — Z. Murawska, „Zastosowanie cyklonu B w obozie na Majdanku" — A. Toniak, „Warunki życia więźniów" — J. Falgowski, „Ucieczki" — E. Gryń, „Życie i twórczość kulturalna więźniów w obozie na Majdanku" — Z. Murawska i Fr. Marciak, „Warunki higieniczne i sanitarne w obozie na Majdanku" — J. Falgowski, „Ruch oporu" — E. Gryń.

Jak widać z przytoczonych nazwisk, lwią część pracy wzięli już na siebie pracownicy lubelskiego Muzeum na Majdanku. Dzięki powołaniu do życia Rady Naukowej Wydawnictw o Majdanku z pomocą przyjdą im naukowcy lubelscy i warszawscy, którzy postawili przed sobą ambitne zadanie na najbliższe 5 lat — opracować „Monografię Majdanka", przygotować monumentalne dzieło poświęcone geografii zbrodni hitlerowskich na Lubelszczyźnie oraz spopularyzować wśród społeczeństwa polskiego poprzez liczne publikacje naukowe, popularno-naukowe i beletrystyczne wiadomości o obozie śmierci na Majdanku. Wszystkie te pozycje zostały wprowadzone do planów wydawniczych, które realizować będzie Wydawnictwo Lubelskie. Dzięki tej wspólnej akcji naukowców, działaczy społecznych i wydawców — Lubelszczyzna przypominając hitlerowskie zbrodnie z okresu II wojny światowej dołączy swój głos do wszystkich regionów Polski, protestując przeciw wojnie i odradzającemu się militaryzmowi w NRF.

Roman Rosiak

* *Fragment tego pamiętnika zamieściliśmy w n-rze 13/14 „Kameny", br. (Redakcja).*

TEN JEDEN DZIEŃ

PO obydwóch stronach drogi ciągnie się niski zagajnik. Wśród karłowatych sosen widać urządzenie strzelnicy sportowej. Wrześniowe słońce grzeje jak dwadzieścia dwa lata temu. Na drodze, parę kilometrów przed Chełmem stoi tłumek dzieci i wychowawców. Maluch w granatowym ubranku dźwiga z przejęciem tekturowy znak drogowy — „zakaz przejazdu". Chłopskie furmanki kołyszą się na głębokim rowie i łąkami wymijają dzieciarnię. Kierowcy ciężarowych wozów zatrzymują swoje pojazdy. Zapalają papierosy — znak dłuższego oczekiwania. A jednak nikt się nie złości. Ludzie się uśmiechają, tłum rośnie. Najpoważniejsze są dzieci. Kwiaty w rękach, wyprężone figury, buzie bez uśmiechu, a w oczach nie dająca się ukryć ciekawość. „Pan Minister przyjeżdża. Pana Ministra przywitamy". Potem, gdy minister Tułodziecki wyściskał witającą go Grażynkę Polberg, gdy okazał się „starszym miłym panem" pękły oficjalne ramy. Dzieci się rozkrzyczały, obrzuciły gościa kwiatami, odprowadziły do samochodu.

1 września. Niezapomniany dzień w roku. Radosny, ważny. Tylko to słońce na bezchmurnym niebie i warkot niewidocznego samolotu przypomina... przypomina...

*

NA honorowym miejscu w mojej bibliotece leży książka oprawna w zielone płótno. „Pisma" A. Mickiewicza wyd. 1901 r. w Lipsku przez firmę F. A. Brockhaus. Tytułowa strona splamiona jest krwią. Książka wspomnienie. Książka — relikwia.

Na stadionie „22 Lipca" w Chełmie wielotysięczny tłum młodzieży przybyłej na uroczyste otwarcie roku szkolnego. Na trybunie goście: minister oświaty W. Tułodziecki, I sekretarz KW PZPR Wł. Kozdra, przewodniczący PWRN P. Dąbek, kurator E. Zahajkiewicz. Trwają przemówienia. A wystarczy tylko przymknąć oczy, by ujrzeć książkę splamioną krwią.

...Mieszkałem wtedy w małym miasteczku przy niemieckiej granicy. Starsi mówili o wojnie, gromądzili zapasy żywności, długie godziny przesiadywali przy radioodbiornikach. A my czekaliśmy 1 września. Obłożone książki i czyste zeszyty prosiły, by wziąć je w rękę.

Była dziewiąta rano, gdy do miasteczka wpadł patrol motocyklistów niemieckich. Mieszkańcy odgrodzili się od świata zamkniętymi okiennicami i drzwiami, przylgnęli do szpar. Kilkakrotnie zaterkotały serie pistoletów maszynowych, zawarczały motory. Patrol odjechał. Dopiero wtedy usłyszałem lament naszej sąsiadki.

— Zabili... zabili go. O, Jezu!

W ogródku przed domem leżał twarzą do ziemi Leon Sędzisz mój trzynastoletni przyjaciel i kolega. Szczycił się tym, że recytował z pamięci „Pana Tadeusza". W tajemnicy przed wszystkimi próbował pisać wiersze. Gdy Niemcy wpadli do miasteczka porwał swą ulubioną książkę i zaczął uciekać. Stał się pierwszą ofiarą wojny i barbarzyństwa faszystów w naszej okolicy. Rodzice zabrali ciało. Na ziemi została skrwawiona książka...

Na chełmskim stadionie głośniki powtarzały słowa ministra Tułodzieckiego. Młodzież nie znająca okropności wojny oklaskami dziękowała za przekazane jej pozdrowienia od rządu, partii, od władz oświatowych. Przyrzekała uczyć się dobrze, kochać Ojczyznę. Nie zepsuje jej życia i radości samolot z czarnym krzyżem.

*

SZEŚĆ klas szkoły powszechnej skończyłem w jednej miejscowości w trzech różnych budynkach. Do siódmej drałowałem codziennie osiem kilometrów. Pamiętam dobrze izbę w drewnianej chałupce, ciasnotę, zaduch. Pamiętam również podniosłą uroczystość przekazywania do użytku młodzieży tak zwanej „szkoły dziesięciolecia" w sąsiedniej miejscowości. Przez kilka tygodni trwały przygotowania. Potem zjechali notable. Z otwartymi ustami wpatrywałem się w pana starostę. Taki zaszczyt. Jego widok był dla mnie ciekawszy od skromnego budyneczku, jaki i nam obiecywano w niedalekiej przyszłości.

Młodzież szkolna na stadionie w Chełmie w czasie uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego.

Minęły lata. W ubiegłym roku w mojej rodzinnej miejscowości przekazano młodzieży dwupiętrowy gmach szkolny z salą gimnastyczną.

Zamiast przedwojennych szkół „Dziesięciolecia" budujemy obecnie szkoły-pomniki „Tysiąclecia". Przekazywanie tych szkół do użytku młodzieży też jest w każdym wypadku podniosłą uroczystością. Czyżby zbieżność form propagandowych? Być może. Lecz istotna treść tych podobnych form propagandowych jest całkowicie różna. Mówił o tym w swoim przemówieniu na uroczystości w Chełmie I sekretarz KW PZPR Wł. Kozdra:

„Polska burżuazyjna za 20 lat władzy wybudowała w Chełmie jedną szkołę tzw. „Dziesięciolecia". Władza Ludowa przekazała młodzieży w ciągu 17 lat 566 szkół na Lubelszczyźnie, w tym 32 w powiecie chełmskim".

Wymowa tych cyfr jest jednoznaczna. W Manifeście PKWN wydanym w Chełmie mówiło się o tym, że „odbudowa szkół zostanie natychmiast podjęta". Była to rzetelna zapowiedź i rzetelnie jest realizowana.

Podczas uroczystości w Chełmie znów przekazane zostały do użytku dwie szkoły: podstawowa nr 4 i Szkoła Przemysł Budowlanych. Są to piękne, nowoczesne gmachy.

*

SPRAWY nauki i pokoju, budownictwa szkolnego wczoraj i dziś, troski o dziatwę szkolną i cały naród... Nie skąpił refleksji ten jeden pierwszowrześniowy dzień. Zapoczątkował on okres wielkiego wysiłku pedagogów i uczniów, a nam pomógł uzmysłowić sobie jeszcze raz, że znajdujemy się na słusznej drodze.

(la)

Ludzie i pejzaże

KONRAD BIELSKI

BYŁ już Kazimierz znany od dawna i miał swoich wielbicieli jawnych i ukrytych. Tu przecież w celi klasztoru Reformatów zamknął się na długie miesiące Berent, gdy pisał swą słynną „Ozimine". Pejzaże kazimierskie liczne były na wystawach jeszcze przy końcu ubiegłego wieku, nawet w dawnych wypisach szkolnych były stronice poświęcone zabytkom i historii miasteczka.

Tak, lecz właściwym odkrywcą, „kolumbem" Kazimierza, który go zdobył i rozsławił po wsze czasy, był Tadeusz Pruszkowski.

W pierwszych latach po wojnie był on już bardzo znanym i poszukiwanym malarzem. Piastował katedrę w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie po Konradzie Krzyżanowskim, którego był uczniem. Przez jakiś czas był nawet rektorem. Popularna niezwykle była wtedy jego malownicza postać, krwistego, pełnego nieokiełznanego temperamentu „grubasa", bo tak go zwali najpierw jego uczniowie, a potem już wszyscy.

Pruszkowski był człowiekiem zamożnym, odziedziczył znaczny majątek, zdaje się, po bracie, ponadto obrazy jego były bardzo poszukiwane i nie brak na nie było nigdy zamożnych nabywców. Krytyka wyrażała się o nim z najwyższym uznaniem. Znajdował się wówczas u szczytu powodzenia, był modny, a jego oryginalne, stylizowane portrety szły jak woda. Niemniej jednak słynął z nieokiełznanego temperamentu, rozmachu i barwnego stylu życia.

On to właśnie zjechał do Kazimierza swoją własną osobą wraz z licznym gronem uczniów i adeptów na tak zwany plener. Od razu zaroiło się od oryginalnych i ciekawych postaci kobiet i mężczyzn. We wszystkich bardziej malowniczych zakątkach rozstawiano sztalugi, a ciekawsze fragmenty architektoniczne domów, słynnych śpichrzy i kościołów utrwalano na kartonach lub płótnie — rano, wieczór, w słońcu, w chmurach i deszczu, niezliczoną ilość razy.

A wieczorem cała malarska kompania zasiadała przy stołach na werandzie u Berensa. Weranda była obrośnięta dzikim winem, którego festony zwieszały się zewsząd. Światło lamp przesiewało się przez liście i miało kolor zielonkawy (nie ma już tego wina, jakiś ponury chuligan podciął rozmyślnie korzenie). Przewodniczył tym posiedzeniom pyszny „grubas", pełen jak zawsze inwencji, humoru i dowcipu. Była tam kuźnia kawałów, które potem chlegały nie tylko Kazimierz, ale całą Polskę. Piło kawę, wódkę, wino, co kto lubił i na co kogo było stać, biesiada przeciągała się zazwyczaj do późnych godzin nocnych. A potem powrót do kwater, zawsze gwarnie i ze śpiewem. Budziło się wszystkich mieszkańców, lecz nikt nigdy na to nie narzekał wręcz odwrotnie, gdy jaka noc przeszła wyjątkowo cicho, pytano z niepokojem, co się stało, czyżby pan Pruszkowski ze swoją szkołą gdzieś wyjechał.

Wśród ciekawych pomysłów i rzadkich upodobań Pruszkowski pasjonował się lotnictwem. Był pilotem-amatorem i właścicielem awionetki. Nie lada to była sensacja, gdy lądował lub też startował na plaży w Kazimierzu. Plażę stanowiła wtedy rozległa mielizna na środku rzeki, coś na kształt wyspy. Pamiętajmy, że w owych czasach zaraz po wojnie, nawet auta prywatne należały do rzadkości, a cóż dopiero samolot.

Byłem nieraz świadkiem tego słynnego lądowania. Skoro nadlatywał, powstawało zaraz wielkie poruszenie. Mnóstwo gapiów biegło na brzeg Wisły, z plaży znowu na gwałt uciekali kąpiący się i wypoczywający letnicy. Wszystkie łódki były w ruchu. Pilot przybliżał się, krążył, znów się oddalał, znów powracał, szukał najdogodniejszego miejsca na tym maleńkim, improwizowanym lotnisku. Ludzie z zadartymi głowami śledzili te ewolucje, pokrzykiwali, udzielali na odległość jakichś porad i wskazówek. Wreszcie awionetka z hukiem obniżała się i zarywała kołami w wiślany piasek. Wszyscy krzyczeli z radości, a z maszyny gramolił się zadowolony i promieniejący „grubas". Czasem za nim wysiadała jego żona. Piękna, efektowna, ślicznie i pomysłowo ubrana pani Zuzanna.

Pruszkowski tak polubił Kazimierz, że postanowił zainstalować się tu na trwałe. Nabył kawał ziemi na wzgórzu z przepysznym widokiem na całe miasteczko i Wisłę i zamierzał się pobudować. Konserwatorzy i wielbiciele kazimierzowskiego pejzażu podnieśli straszny krzyk, że się ma dokonać wielkie barbarzyństwo i zeszpecenie Kazimierza. No ale „grubas" puścił w ruch wszystkie swoje stosunki i osobiste walory, by dokonać swego. Wytłumaczył konserwatorom i miejscowym rajcom, że za jego zasługi dla Kazimierza należy się ta drobnostka, jak zezwolenie na budowę właśnie w tym miejscu, a on to już tak urządzi, że będzie ładnie, stylowo i nie powinno nikogo razić.

Pozwolenie dostał i niezwłocznie zabrał się do dzieła. Do współpracy zaangażował nie byle kogo, bo samego Lecha Niemojewskiego, znanego architekta, zdaje się, że podówczas nawet rektora politechniki.

I ci dwaj zasłużeni artyści odpowiedzialni są za to paskudztwo, które stoi po dziś dzień. Miało to być pomyślane jako pendant do ruin zamku, ale całkiem nie wyszło. Użytkowo też nie przedstawia żadnej wartości, gdyż tak jest zbudowane, że na mieszkania nadają się tylko trzy małe pokoiki, a dwie ogromne pracownie i obszerna piwnica stoją bez wykorzystania. No, ale widok stamtąd, szczególnie w noc księżycową, jest najpiękniejszy w Kazimierzu.

Z BURZY, która rozgorzała około tej budowli skorzystał uczeń Pruszkowskiego, obecnie też profesor i znany malarz Michalak. Posiadał piękną parcelkę, cudnie położoną i postawił tam swój domek. Też były krzyki i protesty. Lecz trzeba przyznać, że dom Michalaka o ile z początku raził, o tyle teraz, obrośnięty kępą drzew, zlał się całkiem z otoczeniem. No i Michalak tam stale mieszka. Ma ładną pracownię i piękne zbiory.

To też stary bywalec, niejedno o tych czasach potrafiłby opowiedzieć.

W szkole Pruszkowskiego kształciło się kilku lubliniaków i to z naszej kompanii. Między nimi był Władysław Daszewski. Inteligentny, dowcipny, już wtedy komunizujący. Ze względu na jego krytyczny stosunek do wielu spraw i częste rozterki duchowe nazywaliśmy go „Emilem poszukującym prawdy" od tytułu głośniej w tych latach książki Uptona Sinclaira.

Nic jeszcze nie zapowiadało świetnej kariery Daszewskiego jako scenografa i teatrologa, był pod całkowitym wpływem i urokiem swego mistrza i malował portrety à la Pruszkowski, a za

(Dokończenie na str. 4)

(Dokończenie ze str. 3)

modele mu służyło grono przyjaciół i znajomych.

Miałem i ja swój portret jego pędzla, jako bonvivanta i lowelasa (oczywiście in spe), we fraku i cylindrze. Ponieważ nie chciałem wyłożyć pieniędzy na zakup płótna, obraz został sporządzony na dykcie, która jest materiałem kruchym i łamliwym, i nie miał długiego żywota. Dziś żałuję, ale wtedy nie przywiązywaliśmy zbytniej wagi do tworów naszych przyjaciół. Szkoda ciekawego portretu Józefa Czechowicza w papierowej koronie, który też przepadł. Chyba tylko jeden ksiądz Szepietowski posiada jeszcze obrazy Daszewskiego z tego okresu.

Renesansowa postać księdza Stanisława Szepietowskiego też wiąże się z Kazimierzem tych czasów. Uprzednio był on kapelanem wojskowym i posiadał nawet szereg bojowych odznaczeń. Zaraz po wojnie pełnił jakieś funkcje duszpasterskie w Kazimierzu. Mieszkał w pięknym klasztorze Reformatów i dlatego nazywaliśmy go „opatem". Miał bardzo dobry gust i kochał malarzy. Toteż zbliżył się do całego bractwa, z wieloma był na „ty", z wszystkimi w zażyłości lub przyjaźni. Brał czynny udział w ich rozprawach i sporach. Zapraszał, gościł, stawiał wódkę i pożyczał pieniądze oraz kupował ich obrazy. Jak się okazało, nie zrobił na tym złego interesu. Skromni studenci wyrośli z czasem na znanych malarzy o głośnych nazwiskach.

Ksiądz Szepietowski po paru latach opuścił Kazimierz, ale już zarażony tym bakcylem, który mu tam został zaszczepiony. W swoich parafiach tępił szmirę, a prace przy upiększaniu kościołów powierzał swym przyjaciołom z bractwa św. Łukasza. Obecnie jest dziekanem w Szczebrzeszynie i w pięknie urządzonym mieszkaniu posiada wiele pamiątek z Kazimierza.

RÓWNIEŻ u Pruszkowskiego rozpoczynał swą naukę Jan Wydra, później jeden z głośnych filarów bractwa Św. Łukasza.

Był to talent samorodny. Mieszkał w Lublinie w potwornych warunkach, w dodatku ciężko chory na rozpadową gruźlicę. Widziałem jego mieszkanie. Dziś nikt nie uwierzy, że tak mogli mieszkać ludzie. Przymierając głodem, korzystał jednak z każdej okazji, by czym się dało i na czym się dało malować swe urzekające wizyjne obrazy. Był przecież samoukiem i więcej przeczuwał niż umiał.

Z tej nędzy wyciągnęła go rodzina Jaworowskich, a ściśle pani Rajmundowa Jaworowska. Córka jej Maria (późniejsza żona Władysława Filipiaka) malowała. Już nie żyje. Syn Tadeusz też obracał się w towarzystwie literatów i dziennikarzy. Miał nawet pewne aspiracje w tym kierunku. W drugim numerze „Lucifera" wydrukowano jego debiut poetycki.

Przy pomocy tej rodziny Wydra dostał się do Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, co było wybitnym wyróżnieniem, gdyż nie odbył żadnych studiów wstępnych. Wszystkich zdobył swymi fenomenalnymi zdolnościami, dostał też znaczne stypedium, które mu pozwoliło uczyć się i pracować.

Był to człowiek skromny, cichy i niesłychanie małomówny. Dla wyrażenia swych myśli i uczuć używał jakichś specjalnych dźwięków i pomruków. Poznałem go na jakiejś wystawie. Zwracał ogólną uwagę swym zachowaniem. Przed każdym obrazem mruczał, zżymał się, bełkotał, wybuchał głośnym śmiechem lub rozkładał ręce i wzruszał ramionami. To była jego ocena oglądanych eksponatów. Zamiast mową wolał posługiwać się pismem. Listy, jego — to było coś jedynego w swoim rodzaju. Widziałem kilka takich, pisanych do Józefa Czechowicza, drobnym maczkiem na sklejanych kartkach z zeszytu. Każdy z nich był długości co najmniej czterech metrów. Nie należał do dobrych stylistów. Masa tam było wody. Ciekawy objaw jakiejś epistolo-grafomanii.

Raz jeden słyszałem jednak, jak Wydra przemówił. Było to na jakiejś bibce koleżeńskiej. Zdaje się, podczas świąt u Gralewskiego. Zebrało się nas kilku. Piliśmy dużo. Jak zwykle u młodych, rozmowa niebawem zeszła na tory erotyczne. Ktoś zaproponował, by każdy z nas opowiedział swoją najciekawszą przygodę miłosną. Wtedy Wydra też zabrał głos. Historia jego miłości była tak oryginalna i niesamowita, że zrobiła na nas niemałe wrażenie.

No ale malować to on umiał. Szkoda, że śmierć zabrała go w pełnym rozkwicie sił twórczych.

W Kazimierzu Wydra często bywał i oczywiście tam malował. Mieszkał przez dłuższy czas u pani Łopuskiej w willi Łopuszanka. Ta pani Łopuska, podówczas kobieta już starsza, była zapaloną spirytystką i znajdowała się w stałym kontakcie z zaświatami. W mieszkaniu jej odbywały się seanse z udziałem znanych mediów i hipnotyzerów. Na tych seansach Wydra, który był też bardzo podatnym medium, w transie malował obrazy-zjawy. Całe cykle. Krążyły one później wśród wtajemniczonych.

Takie się to dziwne sprawy wyczyniały u pani Łopuskiej. Nie dziwota, że poniektórzy malarze uważali ją za czarownicę i zaklinali się, że odbywa potajemne podróże na Łysą Górę, tym bardziej, że od wzgórz kazimierskich do Gór Świętokrzyskich w linii powietrznej nie jest tak daleko.

Tadeusz Pruszkowski zginął w Warszawie przy końcu okupacji. Utonął, kiedy był już blisko brzegu. Przysłowiowe szczęście go odstąpiło.

Żona jego do ostatnich dni przyjeżdżała latem do Kazimierza. Zawsze piękna i urocza, starannie i pomysłowo ubrana, w wielkim kapeluszu à la Rembrandt. Prowadziła na wiele lat przed wojną magazyn mód, który właśnie słynął z takich kapeluszy (jak to śpiewał w szopce akademickiej prof. Pruszkowski: „Z Rembrandtów swój wywodzę ród, bo mi się tak zachciało"). Cera gładka, bez jednej zmarszczki, zda się czas w stosunku do niej się zatrzymał.

LUDZIE i PEJZAŻE

Siadywaliśmy z panią Zuzanną w małej kawiarence na rynku i wspominaliśmy bez przerwy, wspominali. Umarła na raka w roku 1959. Jeszcze jedna nić łącząca z dawnym Kazimierzem została zerwana.

CZĘSTO przebywał w naszym towarzystwie w Lublinie Edward Kwiatkowski, legionista, nawet prezes związku legionistów. Niezły chłop, ale nudziarz i przysłowiowa fujara, dla tych zalet zwaliśmy go po wiechowsku „smutniakiem". Pracował w cukrowni „Lublin", dyrektorem był wojujący endek. Oczywiście były ciągłe scysje, aż w końcu wylano go. Wtedy obijał się bez posady, o pracę było bardzo trudno, a w dodatku nie miał żadnych kwalifikacji. Po przewrocie majowym, wtedy gdy wszyscy jego koledzy raźno zakrzątneli się dokoło dobrych posad i synekur, on płakał bez przerwy ze wzruszenia, że „dziadek" dokonał tak wielkiego czynu, i żył w ustawicznej euforii, choć bez pracy. W końcu przypomniano sobie o nim, lecz ponieważ intratniejsze posady były już zajęte, zrobiono go burmistrzem komisarycznym Kazimierza.

Kwiatkowski przyjął to stanowisko z radością i pewną dumą, gdyż mu wytłumaczono, jaką wielką misję może spełnić. Zabrał się więc raźno do dzieła i nawet dokonał sporo pożytecznych innowacji i inwestycji. Sam twierdził, że jest kontynuatorem tradycji Kazimierza Wielkiego, programowo zakochał się w Żydówce, młodziutkiej malarce z Warszawy, i zamierzał się z nią żenić.

Inwestycje potrzebowały kredytów, zaś mieszczanie kazimierscy w większości nie mieli urządzonych hipotek, bez których bank nie chciał dawać pieniędzy. Wtedy Kwiatkowski zaprosił mnie, jako młodego prawnika, bym ludziom w tych sprawach pomógł. Oczywiście chętnie się zgodziłem. Było to, zdaje się, w roku 1927 — koniec września i pierwsza połowa października. Magistrat płacił za moje utrzymanie i hotel, za porady zaś bezpośrednio zainteresowani uiszczali pewne niewielkie kwoty, ale że było ich wielu, zebrała się wcale pokaźna sumka.

Urzędowałem w pięknej kamienicy pod św. Mikołajem i miałem kilka godzin w porze przedpołudniowej, a potem cały dzień wolny.

Włóczyłem się po polankach i wąwozach, odkrywałem nowe zejścia i nieznane ścieżki. Kazimierz był bogaty w złocie i czerwieni jesiennej. Błękitna, pastelowa mgiełka rozsnuwała się dokoła, a mimo to kontury było wyraźne i widoczność wspaniała. A dokoła, cisza nieprawdopodobna.

Najmilsze były wieczory. Na tej samej werandzie u Berensa pod kopułą dzikiego wina, które już wtedy miało barwę burgunda, zbierało się tam jeszcze sporo ludzi. Przypominam sobie panią Zuzannę Pruszkowską, Irenę Lorentowicz, Eliasza Kanarka, Johna, Michalaka i kilku innych. Piliśmy, gadaliśmy i znowu piliśmy, potem spacer po nocnym rynku. Gwoli tradycji trochę śpiewaliśmy. Nie wiem dlaczego właśnie wtedy po włosku i to „Bandiera Rossa". W końcu popsuła się pogoda, skończyła praca i trzeba było wracać do Lublina.

Koniec rządów Kwiatkowskiego był tragiczny. Włodarzył on z sercem i entuzjazmem, ale bez rozsądku i fachowości. W końcu tak się zaplątał w gąszczu asygnat, kwitów i rachunków, że całkiem się zagubił. Wojewodą lubelskim był wtedy Remiszewski, wezwał go pewnego dnia i bezwzględnie zażądał w ciągu dwudziestu czterech godzin przedłożenia uporządkowanych rozliczeń — w przeciwnym razie zagroził prokuratorem i aresztowaniem.

Kwiatkowski nic nie mówił nikomu, nie zwierzył się nawet przyjaciołom, pojechał do Warszawy i tam w wynajętym pokoju trzeciorzędnego hoteliku palnął sobie w łeb. Zostawił w spadku starych rodziców i kilka obrazów przyjaciół — malarzy.

Dokonana po jego śmierci żmudna i szczegółowa ekspertyza wykazała, że żadnych nadużyć nie było, a w ogólnym bilansie okazała się jedna złotówka nadpłaty.

Tak zginął niepotrzebnie człowiek. Nie darmo nazwaliśmy go „smutniakiem".

BERENS — to też specjalna karta Kazimierza. To już nie była knajpa, restauracja, to była instytucja. Za moich czasów założyciel dynastii już nie żył. Interes prowadziła jego córka p. Zakrzewska. Jak prowadziła, niech powiedzą ci, co przez tyle lat korzystali z jej świetnej kuchni i jedynej w swoim rodzaju atmosfery. Jeszcze po wojnie przez długie lata, aczkolwiek mieściły się tam różne gospody, mówiono „u Berensa". Ale zaczęło się od tego, że ktoś w barbarzyński sposób zniszczył dzikie wino okalające werandę. Lokal stracił swą szatę i urodę. A gdy już Lubelskie Zakłady Gastronomiczne objęły w swój zarząd i urządziły tam coś pośredniego między gospodą ludową a wielkomiejskim barem samoobsługowym, nazywając wszystko w dodatku restauracją „Esterka" — przestano już mówić „u Berensa".

Tak to jeszcze jedna nitka łącząca z przeszłością została ostatecznie zerwana.

Bardzo trudno jest mi zakończyć ten rozdział. Nie mogę się rozstać z Kazimierzem. Coraz to nowe obrazy, zdarzenia i ludzie nasuwają mi się przed oczy. Ale przecież nie piszę książki wyłącznie o Kazimierzu, lecz tylko z nim związane wspominki. Podaję fakty łączące się z mymi bardzo osobistymi przeżyciami, piszę o ludziach, którzy najbardziej utkwili w mej pamięci. Na pewno pominąłem wiele i wielu. Dlatego nie będzie tu już ani o inżynierze Sicińskim, niestrudzonym opiekunie nieskazitelności stylu Kazimierza, ani o prof. Johnie, weteranie i uczestniku dawnych zabaw, ani o rodzinie Berensów, ani o Gierasieńskich, ani o wielu innych. Nie będzie też o balach kostiumowych malarzy, ani o wiankach na Wiśle, ani o Janowcu pełnym tajemniczych legend. Może kiedy innym razem, jak mówi popularna piosenka. Na zakończenie muszę trochę jeszcze napisać o przyrodzie Kazimierza.

Nie wszyscy chyba wiedzą, że Kazimierz ma florę osobliwą i w wielu wypadkach niepodobną do innych połaci kraju. Rosną tam i kwitną rośliny, których się nie spotyka w promieniu setek kilometrów.

Wczesną wiosną na stokach wzgórz pokazują się anemony, niezwykłej wielkości, o subtelnych kremowo-przeźroczystych kielichach. Nieco później można podziwiać w pełnym rozkwicie dziko rosnące caprifolium. Wszystkie wzgórza i wąwozy są nim pokryte, a ostry zapach roznosi się po całym mieście.

Profesor Sławiński, przyrodnik i też wielbiciel Kazimierza, mówił mi, że tu znajdują się rzadkie okazy flory czarnomorskiej, nie spotykane nigdzie poza tym w Polsce. Tak się złożyło, że osobiście mogłem się o tym przekonać.

Jest w Kazimierzu pewna osobliwa roślina, nie znam jej nazwy, pnąca się dokoła drzew i krzewów jak liany. Rozprzestrzeniła się tylko dokoła ruin zamku i baszty. Kwitnie biało, płatki niewielkie o słabym zapachu, w końcu lata, przeważnie w drugiej połowie sierpnia.

Otóż kiedyś w dalekiej Bułgarii zwiedzałem dawną stolicę, stare Tyrnowo. I proszę sobie wyobrazić, że właśnie dokoła ruin zamku carów bułgarskich ujrzałem to samo ziele, spowijające zewsząd kamienie ruin, akurat w pełnym rozkwicie, bo było to w pierwszych dniach września. Powołuję się na świadka panią Alinę Centkiewiczową, znaną podróżniczkę i pisarkę, która wtedy również to widziała. Rozmawialiśmy oczywiście o Kazimierzu i o prof. Sławińskim.

Pod samym Kazimierzem znajduje się miejscowość Albrechtówka. Nazwa pochodzi ponoć od jakiegoś zasłużonego wójta. Położona jest na wysokim brzegu, na wprost Janowca, w miejscu gdzie Wisła jest najszersza. Perspektywa stamtąd jest bardzo rozległa, szczególniej na cyplu, gdzie znajduje się willa Klamerów. Klamer był w okresie międzywojennym ministrem i miał żonę chorą na ciężką astmę. Woził ją po całym świecie bezskutecznie, wyleczyło ją powietrze Albrechtówki, dlatego też pobudowali tu dom i często przebywali. Jest jeszcze willa (dziś w ruinie) głośnego rzeźbiarza Szukalskiego. Zresztą zupełny prymityw. Nie ma nawet światła elektrycznego. Można tam mieszkać tylko w czerwcu, gdy są tak krótkie noce. Wzgórze jest porośnięte przeważnie lasem sosnowym, ale przede wszystkim słynie z czereśniowych sadów.

Otóż znalazłem się tam kiedyś na wiosnę, przy pięknej ciepłej pogodzie, w nocy, w czasie pełni, gdy wszystkie te drzewa były okryte kwieciem — scenerią doprawdy baśniowa. Księżyc na niebie, księżyc w Wiśle, powietrze srebrno-niebieskie i te obłoki kwiatów. Teoretycznie można to zjawisko podziwiać każdego roku. Trzeba tylko, aby jednocześnie była pełnia, pogoda i kwitnienie drzew, a w naszym klimacie o to niełatwo. Ja widziałem raz jeden i nigdy nie zapomnę.

Drugi raz też udało mi się obserwować niecodzienne widowisko wśród przyrody w Kazimierzu. Było to w czerwcu też w czasie nocy, ale wyjątkowo ciemnej, mimo czystej i ładnej pogody. Wracałem do miasteczka z dalekiego samotnego spaceru przez odludne wąwozy i polanki. I wtedy trafiłem na jakiś niezwykły pod względem ilości wyrój świetlików, tak zwanych robaczków świętojańskich. Dosłownie tysiące tysięcy krążyło ich na niewielkiej stosunkowo przestrzeni. Wstęgi, bukiety, gwiazdy latające, roztopione srebro, już nie wiem jak to nazwać, a wszystko w nieprzerwanym, płynnym, powolnym ruchu. Po przejściu kilkudziesięciu kroków wszystko się oddaliło i znikło, pogrążyłem się w ciemności i wtedy uprzytomniłem sobie, że oto udało mi się obejrzeć niezwykłe misterium miłości i w dodatku tak po królewsku iluminowane.

Na tych świetlicach kończę moje wspomnienia o dawnym Kazimierzu, które wbrew pierwotnym zamierzeniom popadły w ton rzewny, a nawet sentymentalny. Tak, ale na moje usprawiedliwienie trzeba podać, że te obrazki, które może nadto upięknilem, oglądałem przez różowe okulary młodości.

Teraz zaś odkładam pióro, bo za pół godziny odchodzi autobus do Kazimierza. Bilet już mam w kieszeni.

Konrad Bielski

JANUSZ BIAŁECKI

Bursztynowej dziewczynie

Twe oczy: jantar. Fala
uczuć je zalewa.
Ulepek żywicy z drzewa
z którego Ewa...

W dal się po nie wyprawię
tak jak rzymski kupiec
i dam się z rozkoszą
na tych słoneczkach upiec.

Potrę nim serce —
— jak papier będzie przylepne
W twój jantar jak robaczek
na prawieki wdepnę.

W 22 ROCZNICĘ ŚMIERCI Józefa Czechowicza

9 września minęła 22 rocznica śmierci Józefa Czechowicza.

W dniu tym na grobie Poety znalazły się kwiaty od literatów lubelskich, od żyjących przyjaciół, od bezimiennych czytelników. Poezja Czechowicza jest żywa, dziełu jego krytyka przypisuje coraz wyższą rangę wśród współczesnych. Czechowicz ma wyznawców i kontynuatorów wśród poetów najmłodszego, najbardziej współczesnego pokolenia poetyckiego. W najbliższym, „lubelskim" numerze „Kameny" da temu świadectwo szkic o Czechowiczu pióra młodego poety — lublinianina, A. Tchórzewskiego.

Czechowicz jest niezaprzeczalną chlubą Lublina, ale nie wszyscy chcą o tym pamiętać. Od wielu lat Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich, „Kamena", prasa codzienna — upominają się o ulicę im. Józefa Czechowicza w Lublinie. Upominają się jak dotychczas — na próżno.

Kiedyż nareszcie władze miejskie uczynią zadość temu ze wszech miar uzasadnionemu i powszechnemu życzeniu opinii publicznej?

W kręgu „Kwadrygi" i Czechowicza

TADEUSZ KŁAK

KRYTYK, recenzent, przez dłuższy czas piszący o książkach, dochodzi do wniosku, którego wykonanie powinno być końcem krytyki. Przyznaje się on do całkowitej bezradności wobec dzieła literackiego, widzi, że rozmija się z nim, a każda próba opisu czy analizy piękna staje się zwykłą odmianą drętwej mowy. A język krytyczny? Jak odejść od sloganu, sztampy i schematu? Przecież tym samym słowem opatruje się utwór przeciętny co nieprzeciętny. Przychodzi wtedy refleksja, żeby to wszystko do diabła rzucić i oddać się lekturze spokojnej, bez żadnych pisarskich zobowiązań.

Książka Wiesława Szymańskiego „Ballady przed burzą" wyrosła z takiej niechęci do języka krytyki i do niej samej. Przedmiotem książki są ciekawsze zjawiska literackie dwudziestolecia, jak W. Sebyła i „Kwadryga", B. Miciński, Uniłowski i Flukowski, wreszcie „krąg Czechowicza" z nim na czele. Szymański nie chce być historykiem literatury, nie opisuje tematu systematycznie. Jego wola. Nie stara się być krytykiem, bo nie ujawnia swojej postawy, swojej koncepcji literatury, nie osądza zjawisk literackich. W „Balladach przed burzą" Szymański zastosował unik, który może być wytłumaczony, ale nie wybaczony. Nie ufa językowi krytycznemu, więc z niego rezygnuje. Próbuje tedy Szymański portretu literackiego. Ale osobliwy to portret. Szkice Szymańskiego to portrety-mozaiki, utożone z materiału bardzo różnego, jaki się tylko nawinie pod rękę. Materiałem głównym są prywatne archiwa pisarzy lub ich rodzin — listy, rękopisy, a także materiał zawarty w prasie literackiej codziennej, nieraz trudno dostępnej. A więc sztuka montażu i reżyserii. W niektórych szkicach, zwłaszcza o Micińskim, metoda mozaikowego portretu zdaje egzamin świetnie. Cały przytoczony i umiejętnie skomponowany materiał daje „biografię wewnętrzną" Micińskiego, rysuje jego drogę pisarską i ludzką, podsuwa oceny. W innych powtórzone odkrycie staje się schematem, prototyp przechodzi do seryjnej produkcji. Wynikiem takiej produkcji jest ostatni największy szkic — „W kręgu Czechowicza". Ponieważ krąg Czechowicza i mnie jest bardzo bliski, lubelskiemu czytelnikowi, jemu przypatrzmy się bliżej.

Szkic ten nie został chyba przemyślany do końca i ten brak przemyślenia widać na każdej stronie. Najpierw Czechowicz. Nie znajdziemy u Szymańskiego ani nowych materiałów biograficznych o tym poecie, ani nowych propozycji interpreeyjnych. Najciekawszy materiał, jakim się autor posługuje (listy Czechowicza do Bielskiego i Czernika), był niedawno publikowany. Portret Czechowicza nie jest konsekwentny. Na początku autor próbuje łączyć wszystko i linia biografii biegnie razem z linią twórczości. Zaraz później Szymański przechodzi ra-

(Dokończenie na str. 9)

„ZAKAZANE PIOSENKI"

FFP

FESTIWAL FILMÓW POLSKICH

MYŚLĘ, że w pierwszych okresach wzrostu każdego ambitnego miasta musi nastąpić moment, kiedy zaczyna się ono trochę wstydzić jakiejś peryferyjnej ulicy, która, będąc sobie ot „polską drogą" między dwoma rzędami chatynek, lgnie przecie do szanującego się centrum, pragnie stanowić z nim organiczną całość. Wówczas to pewno dochodzi do niejakiego kompromisu: vox populi obwołuje niedoszłą ulicę — „wiejską" i tak już zostaje na długie wieki, choćby miasto wypuściło potem macki daleko poza nią, choćby stanął na niej gmach samego Sejmu... W Lublinie też jest ulica Wiejska, która jednak nie straciła tutaj swego wdzięku wsiowego ze swojskim błotkiem w dni deszczowe, z obfitym kurzem w upały. Przy lubelskiej ulicy Wiejskiej znajduje się, w sąsiedztwie skromniejszych posesji, niewysoki, nowoczesny, budynek naszej Ekspozytury CWF. Porosły, rzec by można, od stóp do głów winem o różnym natężeniu zieloności, harmonizuje on na swój sposób z bukolicznym otoczeniem. Lecz to, co możecie ujrzeć w podziemnej salce tego domu, nie jest bynajmniej sielskie-anielskie.

BYŁAM tam kilkakrotnie na pokazach filmowych, ostatnio — w końcu sierpnia, tuż przed rozpoczęciem obecnego Festiwalu Filmów Polskich. Najpierw wyświetlono nam — przedstawicielom placówek kulturalnych — sławny już obecnie historyczny film dokumentalny „Wrzesień 1939 — tak było". W chwili, kiedy piszę te słowa, obejrzał go zapewne cały Lublin (oto niedogodności dwutygodnika) i wszyscy widzowie zgodzą się chyba z tym, że obraz epicki zrealizowany przez Jerzego Bossaka i Wacława Kaźmierczaka jest wyjątkowo wstrząsający. W oczach Polaków, którzy znają wrzesień 1939 r., jak to się mówi, z autopsji, najudatniejsza fikcja dramatyczna nie dorówna montażowi autentycznych dokumentów. A wyszperano ich bez liku. Mówił niedawno Bossak w wywiadzie prasowym o swych poszukiwaniach w archiwach Paryża, Moskwy, Nowego Jorku, Babelsbergu itd. Nie lada gratką było np. odnalezienie dwóch filmów „opiewających" zwycięstwo wojsk hitlerowskich nad Polską. Wydaje mi się, że wymowa tych świetnie zestawionych, wiarogodnych materiałów jest całkowicie przekonująca nawet dla młodzieży, której data urodzenia oszczędziła okropności wojny. Zdjęcia obrony Westerplatte, Poczty Gdańskiej, obrzucania przez Luftwaffe ludności cywilnej w bezbronnych miastach i na zatłoczonych szosach, zdjęcia bohaterskich, tragicznie-naiwnych szarż kawalerii, odwrót rozbitych armii polskich, desperacka obrona stolicy — trzeba chyba być z kamienia, by nie reagować na ten widok. „Heute gehört uns Deutschland, morgen die ganze Welt"... Cóż za buta i jaka w końcu klęska zadufanych w sobie „nadludzi". Ukazana w filmie — brzmi jak najskuteczniejsza przestroga dla napastników. Właściwie w chwili obecnej film ten powinien by wyjść daleko poza granice kraju, żeby go zobaczyli wszyscy Niemcy, żeby ujrzało jak najwięcej ludzi w Europie, na całej kuli ziemskiej.

Z BOLESNYM napięciem oglądałam też w podziemiu na Wiejskiej nowy film fabularny Jana Rybkowskiego „Dziś w nocy umrze miasto", z Andrzejem Łapickim i Beatą Tyszkiewicz w rolach głównych, z pozostającymi w pamięci postaciami Włoszki (Danuta Szaflarska) i starego cyrkowca (Stanisław Milski). Całość jest superdantejskim obrazem piekła Drezna, zbombardowanego bezmyślnie przez lotnictwo amerykańskie w końcowej fazie wojny. Na tym filmie wyciśnięta niewątpliwie piętno współpraca (w dialogach) Kruczkowskiego, którego czujnej uwagi nie uchodzi nic co ludzkie nawet wśród wrogów.

WCZORAJ udało mi się zobaczyć, tym razem w kinie „Wyzwolenie", jeszcze jeden z ostatnich filmów polskich: „Drogę na Zachód", reżyserii Bondana Poręby. Wyświetlenie go w tych dniach można uważać za jeden z najlepszych punktów programu Święta Kolejarzy. Gdzieś ktoś już zdążył skrytykować to nowe dzieło kinematograficzne. Że niby pozostawia w tym kimś niedosyt. Ilu widzów — tylu krytyków, wiadomo. Może ten piszący widz nie znosi szekspirowskiej zasady łączenia tragizmu z komizmem i przeszkadza mu dowcip wielu dialogów? A może jest podświadomym amatorem odcedzania niektórych obiektywnych faktów? A może po prostu chciałby rozwinięcia jednego z dwóch możliwych romansów? Mniejsza o to. Publiczność wychodziła po seansie przejęta filmem, w którym ukazano bez bohaterszczyzny bohaterskie czyny zwykłych ludzi w niezwykłych czasach — historię pociągu jadącego z ziem już wyzwolonych na zachodnie tereny przyfrontowe. Gwiazdą najjaśniejszą jest tu bez wątpienia Kazimierz Opaliński, w roli emerytowanego maszynisty. Ale dużo też jest znakomitych sekwencji z Władysławem Kowalskim (Roman), np. błąkanie się po wymarłym mieście, zwłaszcza pauza w sklepie zegarmistrza.

DZIŚ mamy 11 września. Szukam w prawdziwym podnieceniu afiszów „Przeciwko bogom" Drapelli, a przede wszystkim szerokoekranowego „Samsona", opartego na powieści Kazimierza Brandysa z cyklu „Między wojnami", — „Samsona" Andrzeja Wajdy! Wiem, że niebawem wejdzie na ekrany lubelskie. Jako rekordowa kinomanka, nie ominę oczywiście i sensacyjnych „Milczących śladów" Zbigniewa Kuźmińskiego. Wybrałabym się również na wiele wznowień, przynajmniej na takie, jak „Ostatni etap", „Ulica Graniczna", „Celuloza", „Pod gwiazdą frygijską", „Pokolenie", „Zakazane piosenki", „Młodość Chopina", „Kanał", „Popiół i diament", „Skarb", „Eroica", „Orzeł", „Wolne miasto", „Miasto nieujarzmione"... Tylko, żeby mi kto podarował trochę nadprogramowego czasu!

(Dokończenie na str. 9)

„DROGA NA ZACHÓD"

„A JA CHWALĘ LUBELSZCZYZNĘ I SZUMIĄCE NA NIEJ ZBOŻE...“

TWÓRCZOŚĆ ludowa w Polsce przeżyła już z pewnością swój złoty wiek. Dawno i chyba bezpowrotnie minęły czasy, kiedy po upadku powstania styczniowego literatura nasza pełna była Antków, Michałków, Janków Muzykantów, Ślimaków, Balcerów, Toporków... Dzisiaj literatura pozytywizmu, a następnie czasy Młodej Polski z „Chłopami" Reymonta, „Komornikami" Orkana i „Weselem" Wyspiańskiego, który lapidarnie, ale jakże dosadnie określił rolę wsi, mówiąc: „Chłop potęgą jest i basta!" — wszystko to należy już dziś do historii literatury. Co więcej, można zaryzykować twierdzenie, że pomost między literaturą 20-lecia, z „Pawimi piórami" Kruczkowskiego czy „Ojczyzną" Wasilewskiej, a współczesnością jest coraz bardziej kruchy. Czy zatem można mówić o degradacji sztuki ludowej, czy można ją uważać za przeżytek?

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta i łatwa. Trzeba bowiem pamiętać o tym, że literatura ludowa do roku 1944 walczyła o wyzwolenie społeczne wsi, przed rokiem 1918 i w ostatnich latach również o wolność narodową. Z chwilą gdy narodziła się Polska Ludowa, ludowy poeta nie musiał już sięgać po pióro, by walczyć o swoje prawa, by kierować ostrze satyry przeciwko wrogom ojczyzny. Wraz z ziemią na własność otrzymał on także swobodę w mowie i piśmie. I oto samorodna poezja ukazała się nagle w całej swej krasie. W miejsce ekonomów i karbowych, pisarzy gminnych i policjantów, w miejsce krzywdy i nędzy — zakwitły tysiące kwiatów: polne maki czerwone, błękitne chabry, fioletowe kąkole i białe rumianki, zapachniało świeżym, skoszonym sianem, zajaśniało promieniami słońca. Do poezji wkroczyło życie wsi nowej, życie pełne nadziei i planów, dokonujących się z każdym dniem zmian, zarówno w psychice mieszkańców, jak i otoczeniu, metodach gospodarowania, rządzenia. Chłop poczuł się prawdziwym gospodarzem i już nie jak Konopnicka czy Orkan, ale jak Kochanowski zaczął patrzeć na własne życie, szukając w nim przejawiającego się w najrozmaitszych formach piękna. Jeśli pozostało coś z dawnych cech — to przede wszystkim przywiązanie do ziemi, szczerość wyrażanych w poezji uczuć i cechująca ją zawsze prostota.

W jednym z wierszy, jak najbardziej zresztą współczesnych (napisany 24.I.1960 r.), poeta chłopski z Gutanowa w powiecie puławskim — Bronisław Pietrak tak pisze m. in. o swojej twórczości:

Mój wiersz jest prosty, jak me życie,
Jak łan srebrnego żyta,
Jak śpiew skowronka nad rolnikiem,
Który za serce chwyta.
Mój wiersz się zrodził w wiejskiej chacie,
Wśród sadów, łąk i pól.
W nim jest zawarta radość wsi,
W nim kryje się też ból.

W innym natomiast wierszu (napisanym 8.7.1957 r.), tenże poeta tak określa stosunek poezji do ludu:

Bo myśli nasze są od ludu,
Tematy swoje z ludu czerpią
I razem z ludem się radują
I razem z ludem także cierpią.

Czy można więc mówić o regresie w literaturze ludowej? Z pewnością — nie. Trzeba natomiast mówić o zmianie problematyki i jej systematycznym wzbogacaniu przez nowe treści, jakich dostarcza codziennie życie w nowej wsi. A zatem — nowa treść, a z nią — co jest zjawiskiem najzupełniej naturalnym — kolej na nową formę. Podniesienie się kulturalne całego narodu polskiego w okresie minionych 16 lat spowodowało m. in. to, że proces zacierania się różnic między miastem i wsią postępuje w bardzo szybkim tempie. Wraz z elektrycznością, telewizorami i aparatami radiowymi, książkami i czasopismami, piosenkami i strojami, wkroczyła na wieś kultura miejska. Opuszczająca szkoły i wyższe uczelnie młodzież chłopska, dojeżdżający do pracy w mieście rolnicy, zacieśniające się systematycznie kontakty między miastem a wsią — wszystko to przepowiada rychły koniec samorodnej sztuki chłopskiej, sztuki, która rozwijała się i rosła na swojskiej glebie, z dala od wpływów „kultury oficjalnej", miejskiej. Dlatego też w twórczości współczesnych poetów ludowych coraz rzadziej spotyka się gwarę, coraz częściej zaś cechy znamionujące prawdziwą literaturę. A więc — dzięki zdobyczom Polski Ludowej, dzięki podnoszeniu się kultury wsi poezja chłopska staje w obliczu awansu, staje wobec perspektywy nieuniknionej konieczności stopienia się w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat w jeden nurt literatury narodowej. Wówczas o kryteriach społecznych literatury pozostanie tylko wspomnienie. Nie będzie wtedy poezji „prawdziwej" i „chłopskiej", będzie natomiast poezja i grafomaństwo i w tych dwóch kategoriach będą mieścić się wszyscy twórcy, bez względu na swoje pochodzenie.

WOBEC takiej przyszłości literatura ludowa jest już w tej chwili pewnego rodzaju zabytkiem, a te — jak wiadomo — należy otaczać szczególną opieką. Nie ulega wątpliwości, że jeśli nie uczynimy starań już teraz, by utrwalić i zabezpieczyć twórczość ludową wybraniem najlepszych utworów i opublikowaniem ich — jutro może być na to za późno. Toteż z prawdziwą satysfakcją należy powitać inicjatywę Klubu Twórców i Artystów Ludowych w Puławach, którego założycielem i przewodniczącym jest niezmordowany działacz społeczny i jednocześnie artysta ludowy — Bronisław Pietrak. Dzięki tej inicjatywie w dniu 20 sierpnia br. w Domu Kultury w Nałęczowie odbył się Wojewódzki Zjazd Poetów Ludowych Lubelszczyzny. Na imprezę złożyły się: prelekcja prof. dr Michała Strzemskiego z Puław na temat sztuki ludowej regionu puławskiego, odczyt mgr Tadeusza Kłaka o lubelskiej literaturze ludowej, zwiedzenie wystawy sztuki ludowej Lubelszczyzny i wieczór autorski poetów przybyłych z całego województwa.

Zjazd spotkał się z dużym zainteresowaniem ze strony społeczeństwa i prasy (świadczyć o tym może fakt, że wśród gości znaleźli się dziennikarze reprezentujący blisko dziesięć redakcji warszawskich i lubelskich), tak że trzeba było przenosić obrady z małej sali Domu Kultury do kina. Spośród około 20 twórców, którzy nadesłali wiersze na Zjazd, 13 uczestniczyło w nim osobiście, deklamując własne utwory i biorąc udział w ożywionej dyskusji. Przynajmniej połowę twórców stanowią ludzie bardzo wrażliwi na piękno przyrody, doskonale zdający sobie sprawę z aktualnych problemów życia na wsi, zdolni do przekazania swych myśli i uczuć w prosty sposób. To prawda, że efekt jest często nie taki, jakiego oczekiwał autor. Przyczyna? — Po prostu najczęściej dużo naiwności, gadulstwa, niewolniczego naśladowania Konopnickiej czy Syrokomli, częstochowskie rymy. Jednakże można było wśród twórców prezentujących swój dorobek na Zjeździe w Nałęczowie odkryć szereg prawdziwych poetów.

Z pewnością należy do nich cytowany już wyżej Bronisław Pietrak z Gutanowa. Ma on w swym dorobku około 300 wierszy, z czego kilkadziesiąt drukował już na łamach pism centralnych i lubelskich. Szczególnie ciekawe są jego bajki i cykl wierszy napisanych po stracie trojga dzieci. Poza twórczością literacką, trudni się kowalstwem artystycznym, nie mając w tej dziedzinie godnego siebie partnera.

Poetą z prawdziwego zdarzenia jest niewątpliwie również Stanisław Buczyński z Hrubieszowa. Ma on w swoim dorobku ponad tysiąc wierszy drukowanych w okresie 20-lecia na łamach postępowych czasopism. Brał też czynny udział w ruchu rewolucyjnym, a szereg jego utworów skonfiskowała sanacyjna cenzura. Nie można się zresztą temu dziwić, ponieważ wiersze jego tchną prawdziwym radykalizmem i nawiązują do najszczytniejszych tradycji poezji W. Majakowskiego i W. Broniewskiego. Jest jednak rzeczą niezwykle charakterystyczną, że obok tych rewolucyjnych utworów, jak „Chłopie — robotniku", Buczyński pisze piękne liryki, świadczące o jego wyjątkowym talencie. To właśnie spod jego pióra wyszły m. in. te strofy:

Szukałem prawdy tak długo
Po polach gwarnych...
Doszedłem: prawda jest w pługach
I w ziemi czarnej.
Patrzyłem w otwarte karty,
Dwie rozwiązałem zagadki:
Prawda jest w łzie otartej,
W miłości matki...

(Dokończenie na str. 10)

ANNA ACHMATOWA

Tajemnice rzemiosła

Przekład

KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

1. MUZA

I jak żyć mam z taką zawadą,
Jeszcze mówią: „Muza nią włada",
Mówią: „Ty z nią razem wśród brzóz",
Mówią: „Szczebiot boskich uniesień..."
Bardziej niźli febra wytrzęsie
I znów rok — ani pary z ust.

2. POETA

Pomyśleć, to także jest praca —
To życie w beztroskim spokoju:
Podsłuchać, jak w dźwiękach coś wraca
I wydać to żartem za swoje.

I czyjeś iskrzące się scherzo
Włączywszy do jakichś tam zwrotek,
Przysięgać, że biedne me serce
Tak skarży się, jęczy z tęsknoty.

A potem podsłuchać szum boru,
Dopóki mgła ściele się wokół,
I sosny milczące z pozoru
Stojące w krąg w dymnym otoku.

Tak biorę i z tego, i z tego
I nawet nie czuję w tym winy,
Coś niecoś od życia chytrego
I wszystko od nocnej głębiny.

3. CZYTELNIK

Nie musi być zbyt szczęśliwym,
A zwłaszcza być skrytym. O wierzaj!
By być dla współczesnych prawdziwym,
Poeta się rozwarł na ścieżaj.

I rampa u nóg jego legła,
I wszystko jest trupie i puste,
I światła płomienie zimnego
Piętnują mu czoło i usta.

A każdy czytelnik jak tajnia,
Jak skarb zakopany do ziemi,
Chociażby ostatni, zwyczajny,
Co zawsze dotychczas był niemy.

Tam wszystko, co kryje nam życie,
Gdy tego zapragnie, wypłynie,
Tam płacze ktoś cicho w ukryciu
O jakiejś wyrocznej godzinie.

O ileż tam mroku i nocy
I chłodu, i jakaż tam ciemność.
I tam nieznajome te oczy
Gawędzą do rana aż ze mną.

I jakież mi czynią wyrzuty
Lub zgodne z moimi są słowy...
Tak płyną spowiedzi minuty,
Najtkliwszej, serdecznej rozmowy.

Nasz byt jest na ziemi nietrwały
I krąg nasz tu ciasny, niestety,
A on jest wieczysty i stały
Nieznany przyjaciel poety.

4. OSTATNI WIERSZ

Wiersz jeden jak nagły zbudzony ze snu grom
Wraz z życia oddechem uderza w mój dom
I śmieje się, w gardle przelewa
I pląsa, i klaszcze, i śpiewa.

A drugi powstaje, gdy rodzi się noc,
I skrada się do mnie, i taką w nim moc,
Z zwierciadła się patrzy, przestrzega
I przed czymś surowo ostrzega.

I bywa też taki: dzień biały lśni w krąg,
A wiersz tak znienacka, któż zgadnąłby skąd,
Po białym papierze popłynie
Jak czyste źródełko w dolinie.

Lub coś się naprzykrza, coś budzi twój lęk,
Ni dźwięk to, ni barwa, ni barwa, ni dźwięk
I wije się, drży połyskując,
A w ręce nie daje się ująć.

Lecz ten!.. Po kropelce krew ssał mi i ssał,
Jak miłość dziewczyna bezmyślna i zła,
I potem nie rzekłszy ni słowa
W milczenie zamienił się znowu.

A ja bym nie mogła straszniejszych mieć strat —
Bo odszedł i po nim pozostał li ślad
Wiodący do kraju innego,
I teraz umieram... bez niego.

5. O WIERSZACH

To wytłoki bezsenności,
To są krzywych świec festony,
To są pierwsze w wysokości
Rozdzwonione ranne dzwony.
To parapet przy okienku
Pod księżycem czernihowskim,
To jest nostrzyk w pszczół rozbrzęku,
To są mrok i pył i troski.

6.

Jak korzenne jest tchnienie goździka,
Co mi kiedyś się przyśnił wśród alej
Tam, gdzie pląsa w koło Eurydyka,
Byk Europę unosi przez fale;
Tam, gdzie nasze kołyszą się cienie
Ponad Newy, Newy głębokością,
Gdzie o stopnie jej fal uderzenie, —
Ta przepustka do nieskończoności.

1940—1950

OLGA GAJEWSKA

Wspomnienie z ulicy Miłej

Ten sam stary zaułek. Świt pełza po murach,
tak samo w pół przymknięte powieki okiennic.
Jaskółka do poddasza gniazdko swe przytula,
księżyc niemym zdziwieniem zagląda do piwnic.

Strzępek szarej murawy. Lebiody i rdesty
przeczą, że życie tutaj smutne przemijanie!
Na klamry gwiazd zamknęła noc milczącą przestrzeń,
mgła wychodzi przed bramę na świtu spotkanie.

Do znanych dobrze murów nie obeschłych z rosy,
pomarszczonych jak starość, wyblakłych jak wiek
wspomnienie lgnie jak plakat do tablic ogłoszeń,
teraźniejszość z przeszłością zszywa wspólny ścieg.

Ten sam stary zaułek. Zsunięta firanka,
z poza której ktoś inny w zmierzch ulicy tęskni
i cień ten sam, co niegdyś... skrócony jak plamka
w umówionej godzinie błąka się po jezdni.

Nigdzie śladu rozstania, nikt się tu nie smuci,
księżyc jakiś nieufny — obcy i zdziwiony —
we mnie tylko tęsknota każe tu powrócić:
chce odnaleźć swą młodość — niegdyś zagubioną.

Z nowego budownictwa mieszkaniowego w Zamościu.

O Zamościu starym i nowym

(Dokończenie ze str. 1)

Zamościa zaledwie za rozpoczęte. Nie mówiąc już o tym, że stracono wiele czasu i pieniędzy na roboty, które trzeba będzie wykonać jeszcze raz. Oczywiście wznowienie robót konserwatorskich pociągnie za sobą dalsze koszty, koszty i jeszcze raz koszty, ale ostatecznie chyba warto? Teraz w blaskach słońca stary Zamość przypomina jeszcze czasy dawnej świetności: mienią się barwy, połyskują rzeźby, tajemniczo rysują się w półmroku podcienia, ale jeżeli nie ma słońca, lub gdy się wejdzie na podwórko czy w zaułki za rynkiem czar pryska.

Trzeba jeszcze wyrazić nadzieję, że najbliższe lata przyniosą daleko idącą poprawę tego stanu rzeczy i uczynią ze Starego Miasta to, czym było niegdyś: klejnot architektury polskiej.

*

NIE będzie przesady, jeżeli się powie, że Zamość dziś to przede wszystkim miasto o szerokich perspektywach rozwoju. Zwłaszcza rozwoju przestrzennego. Miasto posiada rozległe tereny nie zabudowane i to nie na peryferiach, lecz właśnie tam, gdzie powinno znaleźć się centrum nowego, nowoczesnego Zamościa. Część tych terenów to pozostałości fortyfikacji, są to zresztą przeważnie „nieużytki", jeżeli chodzi o rozbudowę miasta (głębokie rowy, kanały, nasypy itp). Znaczną partię dawnych terenów pofortecznych zużyto jeszcze przed wojną na obszerny i bardzo ładny park, reszta niestety jest nie wykorzystana i — trzeba przyznać bardzo trudna do celowego wykorzystania.

W Zamościu w ostatnich latach zaznaczył się ogromny, jak na miejscowe warunki, rozwój budownictwa mieszkaniowego (około dwa tysiące izb w ciągu ostatnich trzech lat). Zbudowano bardzo dużo i nadal buduje się wiele. Ramię w ramię współpracują trzy rodzaje budownictwa: państwowe, spółdzielcze i prywatne, zapełniając całe ulice, tworząc nowe osiedla, kolonie, a nawet dzielnice. Powstały dwie duże kolonie domków jednorodzinnych przy ulicy Lipskiej, całe miasteczko między parkiem a dworcem kolejowym, jak również szereg większych i mniejszych domków w rejonie ulic: Zdanowskiej, Narutowicza, Wiśniowej. Wybudowano kilkanaście domów na Starym Mieście, z tego kilka w rynku dopasowując styl do zabytkowego otoczenia. Powstała nowa dzielnica mieszkaniowa za koszarami, a druga buduje się między szpitalem i Starym Miastem.

To, co wybudowano i buduje się koło szpitala przy tzw. Kaczych Dołach, stanowi największy powód do dumy z nowego budownictwa na terenie Zamościa. Kilkanaście dużych naprawdę ładnych, nowoczesnych bloków, o orginalnych i śmiałych rozwiązaniach architektonicznych, już wzniesiono, kilka dalszych w budowie. Powstaje nowa dzielnica, jakiej mógłby Zamościowi pozazdrościć Lublin, a może i nie tylko Lublin.

A plany na przyszłość... Latem 1960 roku odbyło się w Zamościu Seminarium Urbanistyczne z udziałem wybitnych specjalistów, na którym ustalono plan przestrzennego zagospodarowania miasta do roku 1965. Przewidziana jest rozbudowa sieci wodociągowej, przebudowa ulic o łącznej długości ponad pięciu kilometrów. Przebudowana zostanie cała ulica Lubelska i Akademicka (rozpoczęto już prace) z równoczesnym położeniem nawierzchni asfaltowej i zawieszeniem oświetlenia jarzeniowego. Ponadto nawierzchnię asfaltową otrzymają niektóre ulice w zabytkowej części miasta.

Do roku 1963 planuje się oddanie do użytku około tysiąca pięciuset izb mieszkalnych. Planuje się budowę nowoczesnego hotelu itd, itd.

Gospodarze miasta nie zapominają i o rozpaczliwym stanie budynków na Starym Mieście. Planuje się skanalizowanie tej dzielnicy, remonty mieszkań, dalszą renowację zabytkowych elewacji i wnętrz.

Można zaryzykować, ba nawet śmiało postawić, tezę, iż stary Zamość przeżywa drugą młodość, jeżeli chodzi o rozwój budownictwa. Ale dużo pozostaje jeszcze do zrobienia. Zamość nie ma właściwie nowoczesnego centrum, które doskonale zmieściłoby się pomiędzy kinem „Stylowe", bankiem, a Wydziałem Zdrowia. Nadal przez środek miasta biegną tory kolejowe i nie tylko tory, bo są jeszcze rampy, magazyny na buraki itp.

O trzysta metrów od ratusza wtłoczono ogród zoologiczny, z którego Zamość jest dumny, choć właściwie powinien się go wstydzić, bo zwierzęta zanieczyszczają powietrze w całej dzielnicy, a ponadto męczą się w zupełnie nieodpowiednich warunkach. Ale i na to znalazła się rada: planuje się przeniesienie ZOO na inne, obszerniejsze i bardziej do tego celu odpowiednie, tereny nad rzeką Łabuńką.

*

O ROZWOJU Zamościa pisać by można jeszcze wiele. Trzeba wspomnieć, że uruchomiono cztery linie autobusów miejskich — kursuje dwanaście samochodów, a planuje się wprowadzenie jeszcze kilku dalszych.

Przesadą byłoby nazwanie Zamościa miastem przemysłowym, chociaż i w tym zakresie zrobiono sporo i dużo się projektuje na najbliższe lata. Rozwija się fabryka mebli, klinkiernia, wybudowano nowoczesną chłodnię. Planuje się budowę nowych zakładów jajczarsko-drobiarskich i rozbudowę zakładów mięsnych. Ponadto przewiduje się dalszy rozwój przemysłu terenowego i spółdzielni pracy.

*

DZISIEJSZY Zamość wywiera na zwiedzających dość mieszane wrażenie i uczucia. Z jednej strony widzi się Stare Miasto, pełne interesujących zabytków, dalej miasteczko nieco brudne, z lekka egzotyczne, pełne ruder, walących się chałupek, pustych placów, jakichś szop, składów itp. Z drugiej strony obserwuje się tętniące życiem, dynamiczne młode miasto, budujące się, powstające. Idzie się ulicami, na które właśnie robotnicy leją asfalt, skacze się przez rowy, w których niedługo będą umieszczone kanały. Zadziera się głowę, by pogapić się na pracę murarzy na rusztowaniach nowych bloków. Na każdym kroku obserwuje się walkę miasta z miasteczkiem, trudną walkę, której ostateczne rezultaty zobaczymy dopiero za kilka, a może kilkanaście lat. Ale ważne jest to, że toczy się walka, że wre praca.

*

OSOBNE miejsce w rozwoju miasta zajmują sprawy oświaty i kultury. Zamość można nazwać miastem szkół — miastem młodzieży. Tutaj pamięta się o tradycjach dawnej akademii. Zaplanowano zresztą coś w rodzaju jej reaktywowania przez przeniesienie do Zamościa części Uniwersytetu MCS z Lublina. Za wcześnie jeszcze, by mówić o szczegółach tego planu, z radością jednak trzeba zanotować fakt, że renesansowe miasto uniwersyteckie i dziś w czasach walki o lepsze jutro stanie się siedzibą szkoły wyższej.

Na razie jest Zamość poważnym ośrodkiem szkolnictwa średniego dla południowej części województwa. Dwa licea ogólnokształcące, Liceum Sztuk Plastycznych, szkoła rolnicza i szereg szkół zawodowych — gromadzą kilka tysięcy młodzieży, która rojną rzeszą wypełnia stare mury. Młodzież stanowi znaczny procent mieszkańców Zamościa. Ona nadaje tu ton, ożywia miasto, odmładza je jeszcze bardziej. W latach ostatnich wybudowano tu dwie szkoły podstawowe i rozpoczęto budowę dwu szkół-pomników Tysiąclecia. Rozbudowano szkołę rolniczą i liceum pedagogiczne. Projektuje się budowę studium nauczycielskiego, a także całego kompleksu budynków szkolnych i internatów dla szkół zawodowych.

W przeciwieństwie do ogromnego rozwoju oświaty na terenie miasta, życie kulturalne mieszkańców Zamościa nie jest niestety ani żywe, ani bogate. Położono dopiero fundamenty pod budowę domu kultury. Na terenie miasta jest właściwie tylko jedno duże kino. Specjalną bolączką jest sprawa teatru. Trudno może żądać, by Zamość miał stały teatr zawodowy, ale mógłby przecie powstać stały teatr amatorski. W latach czterdziestych istniał amatorski Teatr Ziemi Zamojskiej, który mógł poszczycić się całym szeregiem udanych spektakli. Od lat już teatr ten nie istnieje, jednak ambicją mieszkańców Zamościa powinno być jego reaktywowanie w najbliższym czasie.

Brak również dostatecznej liczby świetlic, zwłaszcza dla młodzieży. Na plus jednak zapisać trzeba działalność Biblioteki Miejskiej (która objęła ostatnio piękny lokal w zabytkowej bóżnicy żydowskiej) i Ogniska Plastycznego przy Liceum Sztuk Plastycznych. Przy lokalu Biblioteki działa również istniejący od niedawna Klub Inteligencji. Z innych, być może dość ważnych spraw wspomnieć trzeba o pięknej kawiarni „Ratuszowej". Lokal godny obejrzenia, wnętrze miłe i nastrojowe. O drugiej kawiarni — ogródku pod firmą „Tęczowa" lepiej nie wspominać. Królestwo złego smaku — jest to wszystko co można o niej powiedzieć.

*

WIECZOREM, kiedy nad Ratuszem zabłyśnie księżyc, miasto cichnie. tylko zakochane pary z rzadka przesuwają się podcieniami, wykorzystując romantyczny nastrój. Czasem przemknie się zapóźniony turysta podziwiający miasto, z którego noc wydobywa nowy, zwodniczy urok.

Na ratuszowej wieży zegar wydzwania godziny, powoli ulice wyludniają się, gasną światła. Zasypia miasto ludzi twardej, twórczej pracy — pracy dla lepszej przyszłości.

Bohdan Królikowski

PODCIENIA W ZAMOŚCIU

Współczesna filozofia teatru

STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI

W NUMERZE 5 „Dialogu" ukazała się interesująca rozprawa prof. dr Ireny Sławińskiej nt. „Współczesna filozofia teatru". W obszernym, z gruntowną znajomością przedmiotu i sugestywnie podanym przeglądzie myśli o teatrze przedstawiła autorka poglądy na istotę teatru z jednej strony współczesnych filozofów francuskich, z drugiej zaś strony amerykańskich semantyków.

Nawiązując do tej rozprawy, pragnę ustosunkować się do kilku zagadnień szczególnie ważkich, choć niekoniecznie — jak się wydaje filozofom — nowych i odkrywczych. Pierwsze z nich to sprawa związku teatru z życiem (le théâtre et l'existence), a więc zagadnienie istoty teatru, odpowiedź na pytanie, czym teatr jest, względnie czym być powinien.

Życie człowieka, zwłaszcza zaś jego „życie wewnętrzne jest — jak twierdzi G. Yamati — dramatem, wobec czego należy postawić znak równości pomiędzy kategoriami dramatu i kategoriami teatru". Ujęcie to istotnie nowe, skoro w dotychczasowych poglądach obie te kategorie sobie przeciwstawiano, stosując między nimi tradycyjny przedział. Istotę bowiem teatru pojmowano na przestrzeni dziejów ludzkości rozmaicie: inaczej rozumiano ją w epoce, kiedy teatr rodził się u starożytnych Greków z kultu religijnego, inaczej w średniowieczu z jego misteriami i jeszcze inaczej w epokach następnych. Prądy filozoficzne i związane z nimi kierunki literackie przekształcając istotę twórczości artystycznej zmieniały równocześnie stosunek człowieka do teatru.

Wyrósł teatr z kultu religijnego, ale począł się w człowieku jako jeden z jego instynktów, w człowieku i przez niego się rozwija i — jak człowiek — trwać będzie tak długo, dopóki wyrażać będzie i zaspokajać potrzeby psychiki człowieka. Bo forma teatralna jest koniecznym składnikiem całokształtu ludzkiego istnienia i ludzkich poczynań, bo teatr jest swoistym odbiciem dramatu, jakim jest nieustannie zmieniające się życie człowieka, wewnętrzne i zewnętrzne. Dlatego właśnie precyzując i rozwijając pogląd o nierozerwalnym związku teatru z życiem, przez istotę teatru rozumiem ujęcie w ramy widowiska scenicznego fragmentu życia ludzkiego, bez względu na to, czy ramy te potraktujemy realistycznie, symbolicznie, alegorycznie, czy jeszcze inaczej. Dlatego właśnie integralnymi składnikami istoty teatru są: autor, wykonawca i odbiorca.

Jeżeli współczesny filozof francuski (H. Gouhier) zapewnia nas, że

(Dokończenie na str. 8)

FEDERICO GARCIA LORCA

La ballada del aqua del mar

Morze
uśmiecha się w dali,
pokazuje zęby z piany.

Co sprzedajesz, och błotniste młode,
z zanadrza co sprzedajesz powietrzu?
Sprzedaję, panie, wodę
ze wszystkich mórz.

Co niesiesz, och, czarne i młode,
z twoją krwią zmieszane, co niesiesz?
Niosę, panie, wodę
ze wszystkich mórz..
Serce i ta gorycz
poważna, skąd pochodzą.

Woda ze wszystkich mórz
bardzo jest gorzka.
Morze
uśmiecha się w dali,
pokazuje zęby z piany.

Desposorio

Wodzie
rzucajcie ten pierścień.
(Cień swoje palce trzyma
nad ramieniem moim.)
Rzucajcie ten pierścień: Mam
ponad sto lat, Cisza!
Nikt nie zapyta więcej.
Wodzie
rzucajcie ten pierścień.

Tłumaczył z hiszpańskiego
Andrzej Tchórzewski

W sierpniu upłynęło 25 lat od śmierci poety z rąk faszystów hiszpańskich.

ZWIERZAKI I ZIOŁA

DANUTA ZAWISTOWSKA

Po wydanych w roku 1959 „Wierszach dziecięcych", Kazimiera Iłłakowiczówna zaprezentowała nam nowy tomik, również przeznaczony dla małych czytelników — „Zwierzęta i zioła" *).

Są to poezje całkowicie nowe, w przeciwieństwie do „Wierszy dziecięcych", stanowiących wybór z dawniejszych tomów. Wydają się również — w zestawieniu z tomikiem z roku 1959 — bardziej realistyczne, bardziej „codzienne", prostsze i przez to przystępniejsze dla psychiki przeciętnego dziecka.

Udziwnienie treści i nastroju, tak charakterystyczne dla większości „Wierszy dziecięcych", niekiedy przerastające doświadczenie dziecka swą wyrafinowanie poetycką fantastyką i nastrojowością, w „Zwierzakach" ustępuje miejsca atmosferze „swojskości". Większość wierszyków mówi o wydarzeniach i sprawach codziennych, niemniej przeto w dziecięcym świecie istotnych: o wędrówce do szkoły w „Niepogodę", o „Łódeczkach" papierowych na kałuży, o „Furze" zboża wiozącej gromadkę rozbawionych dzieci. Są wprawdzie w „Zwierzakach i ziołach" także fantastyczne stworki, ale ich „sposób bycia" jest na wskroś bezpośredni: „Krasnoludek" prosi dziewczynkę o mleko, „Rusałeczka" ma mieszkanie w drzewie — dobrze znane Elżuni, a „Wodnik" — na propozycję Oli: „Może parę wiśni, panie wodniku?" — odpowiada rezolutnie: „Muszę kręcić, bo koło stanie, powieś mi ze cztery wiśnie tam, na parkanie".

Najbardziej interesujący bohaterowie tomiku, to chyba zwierzęta i rośliny: psy, koty, ropuchy, wronięta, „Kąkol", „Królik", czy „Brzózka". Nie udziwnia ich tu autorka, jak to robiła w wielu uroczych wierszach fantastycznych dwudziestolecia międzywojennego, ale łączy z motywami roślinno-zwierzęcymi inną, charakterystyczną dla swej poezji postawę: współczującą miłość dla każdej żyjącej istoty.

Wierszyki „Zwierzaków i ziół" przekraślają utarte schematy estetyczno-moralne o zwierzętach brzydkich i ładnych, pożytecznych i szkodliwych; wysubtelniają spojrzenie dziecka na otaczający świat, oczyszczają je z tępych, banalnych, bezdusznych nalotów, narzucanych często przez dorosłych. Zgodnie ze współczującym patrzeniem na przyrodę, na zainteresowanie i przyjaźń zasługuje „Kąkol", który „nie wie, że psuje żyto, i bez pytania zakwita", „Ropucha" mieszkająca pod kamieniem, a także skrzywdzona matka maleńkich wroniąt, wyrzuconych z gniazda.

Postawa nienawiści, cechująca często stosunek człowieka do zwierząt, obca jest przyrodzie. Wzruszająca jest historyjka o „wielkim psie" zmartwionym swoim uczynkiem: zamordowaniem kota. Poetka konkluduje:

Czy pies winien, że zabił? Czy kot,
że po sadzie się włóczył?
Nie. Pan winien, bo nienawiści
do kotów psy uczył.

Książeczka Iłłakowiczówny uczy dziecko wrażliwości moralnej i w tym tkwi jej niezaprzeczona wartość. Robi to przy tym w sposób bardzo subtelny, bez moralizowania, co znów stanowi jeden z jej walorów artystycznych. Należy do nich przede wszystkich świetna stylizacja języka na prymityw dziecięcy i wiążący się z nią swoisty wdzięk — cechy charakterystyczne stylu poetyckiego Iłłakowiczówny.

Na podkreślenie zasługują wreszcie barwne ilustracje Janusza Grabiańskiego.

*) Kazimiera Iłłakowiczówna — Zwierzaki i zioła. Ilustrował Janusz Grabiański. Nasza Księgarnia, Warszawa 1960, s. 48, cena 18 zł.

(Dokończenie ze str. 7)

WSPÓŁCZESNA FILOZOFIA TEATRU

autor to „swoisty wszechświat" czy „czynnik uniwersalistyczny, któremu trzeba stworzyć warunki istnienia", nie mam nic przeciwko takiej propozycji, zakładam bowiem, że bez autora nie ma teatru. Był nim kiedyś anonimowy mit, była później zbiorowa koncepcja w commedia dell' arte, stał się wreszcie obecny pisarz-jednostka, w każdym jednak przypadku dla autora rzeczą zasadniczą jest uchwycenie na gorącym uczynku fragmentu życia człowieka i podanie go w formie widowiska. Sama forma to sprawa całokształtu warunków, w jakich autor żyje, oraz jego rozumienie tego, co współcześni filozofowie nazywają „bytem (l'existence) teatru".

Drugim integralnym składnikiem istoty teatru jest wykonawca. I znowu pojmowanie go przez współczesnych filozofów jako „gry, partytury" nie wnosi niczego nowego poza terminologią. Bo wykonawca to aktor lub zespół aktorski, inscenizator, reżyser, scenograf i wszyscy ci, bez których przygotowanie widowiska nie byłoby możliwe, a których najlepiej jest nazywać zespołem wykonawców. Dla tego zespołu sprawą zasadniczą jest właściwe zrozumienie autora i sceniczna realizacja jego utworu. Takie jednak ujęcie problematu zmusza do pewnych bliższych wyjaśnień. Rodzi się bowiem pytanie, jak dalece wykonawca powinien być wierny i zależny od zamysłu autora, na jaką zaś może sobie pozwolić swobodę, nie zmieniającą się jednak w pełną dowolność. Różne są na to zagadnienie poglądy, reprezentowane i wprowadzane w życie szczególnie przez współczesnych inscenizatorów i reżyserów, przy czym stanowiskiem skrajnym bywa nieraz właśnie pełna dowolność, uzasadniana niekoniecznie przy pomocy kryteriów artystycznych czy filozoficznych, bo często przy pomocy określonych tendencji pozaartystycznych. Z taką dowolnością godzić się nie sposób nawet wtedy, kiedy zgodzić się trzeba, że ten sam zamysł autora różni ludzie różnie odczytują, przy czym nie zawsze umiemy się zdecydować, które odczytanie należy uznać za trafne. W każdym razie próby odczytania autora z epoki minionej przy pomocy kategorii współczesnego pojmowania okresowych idei muszą przecież doprowadzić do swoistego tendencyjnego przeinaczania postawy ideowej autora. Zjawisko takie nabiera szczególnej ostrości wtedy, kiedy przeinaczanie odbywa się wbrew wyraźnie w utworze podanym wskazówkom autora.

Wykonawcę, aktora nazywają współcześni filozofowie teatru „pełną osobą", zakładając przy tym, że ta właśnie „osoba" stanowi o „istnieniu" teatru, którego zasadniczym rysem jest więc „antropocentryzm". Słusznie, skoro już dawno usunięto z teatru koncepcję Arystotelesa o naśladownictwie; współczesny aktor nikogo już dzisiaj nie naśladuje, ponieważ jego zadanie z dawniej tylko odtwórczego stało się zadaniem twórczym. Aktor tworzy postać sceniczną w oparciu o materiał dostarczony mu przez autora w utworze. Stąd właśnie zerwanie z tradycyjnymi formami opartymi na zasadzie weryzmu czy autentyzmu — aktor ma postać stworzyć bez względu na to, czy jest nią w życiu, czy nie. Na tym polega kunszt aktorski, uwarunkowany talentem i żmudną pracą.

Jest jeszcze trzeci integralny składnik istoty teatru — odbiorca, tzn. widz. Bez niego, jak bez autora i wykonawcy, nie ma teatru. Dla widza rzeczą najważniejszą jest to, czy widowisko, w którym uczestniczy, spełnia w stosunku do niego jedno z tych podstawowych zadań, jakie z istoty teatru wynikają. W tym względzie stanowisko współczesnych filozofów teatru zadowolić nie może. Widzą oni bowiem tylko dwa zadania teatru, które określić wolno jako: 1) teatr kształcący (poznawczy) i 2) teatr bawiący, nie dostrzegają natomiast zadania trzeciego, którym jest teatr wychowujący.

Rozważając wszystkie trzy zadania teatru, na pierwsze miejsce wysunąć trzeba teatr bawiący. Zanim bowiem uświadomiono sobie tkwiące w teatrze wartości poznawcze, widziano w nim tylko formę zabawy. Staje się to czymś bezspornym, jeżeli dostrzegamy, że ten aspekt teatru był jego wykładnikiem od zarania dziejów jako tkwiąca w naturze każdego normalnego człowieka głęboka potrzeba wyżycia się, potrzeba zabawy, konieczność ulegania nastrojom. Humor i śmiech są nam potrzebne jak chleb codzienny. Tak było zawsze i tak jest dzisiaj. Życie człowieka było i jest dramatem, co jednak nie przeszkadza temu, że równocześnie było i jest zabawą. Zabawa w życie znajduje swoje odbicie w zabawie w teatr. Właśnie dzisiaj jesteśmy świadkami powrotu na deski sceniczne zabawy w teatr. Świetnie propagują ten kierunek Włosi, w których środowisku zrodziła się ongiś commedia dell' arte. Jak pyszna jest taka zabawa w teatr, przekonaliśmy się w czasie widowiska „Archaniołowie nie grają w bilard" — zespół tego spektaklu sam świetnie się bawi, bawiąc w ten sposób widownię. Istota takiej zabawy, zabawy w życie i zabawy w teatr, polega na tym, że życie — dramat składa się z dwu pierwiastków: tragizmu i komizmu. Dość często zdarza się przy tym: i tak, że co dla jednego człowieka jest tragiczne, inny przeżywa to samo jako coś wręcz komicznego. I odwrotnie. Ostatnie czasy dostarczyły aż za wiele tego zjawiska przykładów.

Nie ulega wątpliwości, że zabawa w teatr nastręcza sporo ogromnych trudności, które musi pokonać aktor w zależności od rodzaju, gatunku i charakteru utworu. Łatwo o nią w przypadku „Archaniołów" czy naszej „Zemsty", trudno jednak, bardzo trudno, gdy trzeba się bawić w „Ifigenię w Taurydzie" czy „Mazepę". Różne tu trzeba stosować środki i formy zabawy, ale na tym polegają — raz jeszcze — kunszt aktora i jego umiejętność wciągania do własnej zabawy widza, który musi w niej uczestniczyć, skoro bez niego nie ma teatru.

Godząc się z poglądem, że teatr z istoty swojej jest czynnikiem kształcącym (poznawczym), widzą filozofowie tę jego funkcję w tym, że poprzez swoje wartości poznawcze, poprzez swoje istnienie pomnaża teatr w człowieku istniejące w nim lub też wytwarza nie istniejące umiejętności. Teatr bowiem uczy człowieka myśleć, zmuszając go do rozwiązywania np. nie rozwiązanej (często celowo) przez autora koncepcji; teatr budzi w widzu potrzebę wypracowania sobie przez niego pewnej postawy ideowej i estetycznej; zbliża widza do dorobku kulturowego, rodzimego i obcego, staje się pośrednikiem między rodzimą i obcą kulturą. Naczelnym zadaniem kształcącym współczesnego teatru polskiego powinna być troska o kult naszego ojczystego języka.

Ponieważ zarówno zabawa jak i nauka, są z natury swojej czynnikami wychowującymi, teatr bawiący i kształcący pełni funkcję wychowawczą. Wbrew stanowisku współczesnych filozofów funkcję taką w teatrze widzieć należy i co więcej — mamy prawo wymagać od współczesnego teatru, by współdziałał w doniosłym procesie wychowywania nowego człowieka. Nie ulega bowiem wątpliwości, że teatr, że dzieło teatralne należą do tych wartości nieprzemijających, które wywierają niezaprzeczalny wpływ na kształtowanie struktury psychicznej, osobowości i charakteru człowieka.

Tym, co się w pracy teatralnej wysuwa na pierwszy plan jako jego wartość wychowawcza, jest niewątpliwie czynnik zespołowości. Przedstawienie teatralne to koncert, w którym każdy wykonawca gra wprawdzie swoją tylko partię, ale wszyscy wykonawcy razem stanowią dopiero logiczną całość. Wychowując tą drogą własny zespół, wychowuje teatr równocześnie widza, wychowuje cały naród, któremu jako placówka kulturowa służy. Każde przecież widowisko teatralne, stojące na właściwym poziomie artystycznym i moralno - etycznym wychowuje widza, sublimując w nim pewne przyrodzone mu cechy, jak: sposób bycia wśród ludzi, zachowanie się przy stole, w lokalu publicznym, hotelu czy urzędzie. Ze sceny teatralnej uczy się widz i zaraża uczuciem szlachetności dla słabych i opuszczonych; w utworze scenicznym znajduje często odpowiedź na dręczące go pytania itp. Bywa też teatr czynnikiem, który zdolny jest targnąć sumieniem nie tylko jednostki, ale i całego narodu, wyrwać naród z letargu, zbudzić w nim siły dawno jakby zamarłe i na nowe pchnąć go tory.

Zagadnienia istoty i bytu teatru nie wyczerpują przedmiotu zainteresowania u współczesnych filozofów — zastanawiają się oni w równym stopniu nad sprawami takimi, jak: czas i przestrzeń w teatrze, akcja i intryga, komizm i tragizm, ale — o tych sprawach przy innej sposobności.

Stanisław K. Papierkowski

ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI

Przestroga

Żelazne wrota, w które trzeba walić
[pięściami,
głuchy świat, gdzie nie dźwięczy
[żaden ton —
stłumiony pada
i obija się martwo o ściany.
Kamienne kwiaty,
na których nie siadają ptaki.
Zastygłe w bezruchu rzeźby antyczne,
zimny marmur
rozpalający gniew.
Wczorajszy świat
jest wśród nas.
Wczorajszy świat
jeszcze żyje,
stygnie ścinając wszystko mrozem.
Uważajcie —
jest w nieludzkich sercach,
pozwala gnieździć się licznym
[rodzinom
w cuchnących norach,
handlować ludzką pracą,
lać się rzekom czystej luksusowej
[w wytwornych knajpach,
rzęzić czkawką w gardle pijaka,
pchać dziewczynę w rynsztok,
śmiać się z cudzych łez.
Uważajcie —
są wśród nas
maski zastygłe w pogardzie
dla tych, co tworzą piękno i dobro,
maski krechą śmiechu przecięte
[po głupim, soczystym dowcipie.
Uważajcie, uważajcie!
Rak się przerzuca.
Obłudą ściągnięte
usta
nie znają, co to słowa przyjaźni.
Uważajcie -
wśród nas jest stary świat.

Maj 1961.

W kręgu „Kwadrygi" i Czechowicza

(Dokończenie ze str. 5)

czej do relacji życiowych perypetii poety, podanych w telegraficznych skrótach, a znanych ze wspomnień przyjaciół Czechowicza. Dopiero pod koniec wraca autor do spraw istotnych dla autora „Nuty człowieczej" i zajmuje się problemami, które na drodze twórczej Czechowicza były punktem dojścia. Chodzi o „poezję czystą". Szymański i tu ułatwił sobie zadanie. Nie spojrzał na marzenia o „poezji czystej" z perspektywy 20 lat, ani nie związał jej z kontekstem historycznym, tylko wyręczył się parustronicowymi cytatami z wypowiedzi Frydego i Czechowicza. Niewiele jest w szkicu o tak ważnym dla poety „fantazjotwórstwie" i nic prawie o artystycznych powiązaniach poety z jego współczesnością. A to jest dla znajomości poety ważniejsze niż opublikowanie tego czy tamtego listu. Nawiasem mówiąc, w listach Czechowicza można wyczytać wiele ciekawych rzeczy, choć mógł do tych listów Szymański nie dotrzeć. Można w nich wyczytać, jak ważna była dla poety np. sprawa epiki, i to nie tylko pisanej prozą (niespełnione marzenia o powieści), ale wierszowanej. Czechowicz przepowiadał renesans epiki wierszem, sam chciał do tego renesansu przyczynić się, podejmując próby poematu liryzowanego („Hildur Baldur i czas"). Także w wyborze materiału popełnia Szymański niekonsekwencję, przynajmniej od strony wymagań czytelnika. Cytuje np. obszerne fragmenty pierwszego numeru kwartalnika „Pióro" (który redagował Czechowicz), omawia jego zawartość. Natomiast o drugim numerze, który ukazał się tuż przed wybuchem wojny i którego ocalało jedynie parę egzemplarzy, zaledwie wspomina, a mało kto do tej pory wie, co te egzemplarze zawierają.

Niekonsekwentnie zestawiony jest u Szymańskiego „krąg Czechowicza". Powiada autor, że brak materiału. Zgoda. Ale dla niektórych (choć pominiętych), jest go o wiele więcej, niż dla biografii Rzeczycy, którą załatwia tylko duży cytat z artykułu Jachimowicza.

Bardzo dobrze się stało, że Szymański przywrócił należytą rangę poezji Piętaka na poetyckiej mapie dwudziestolecia. Rzeczywiście dorobek jego jest dzisiaj niedoceniany. Dobrze, że na nowo przypomniał tragiczną twórczość Bronisława Ludwika Michalskiego, że zajął się Domińskim i Podstawką. Sądzę, że należało się pokusić o ukazanie całego kręgu Czechowicza. Ujrzelibyśmy wtedy pełny obraz tych wysiłków poetyckich, które były już poza oficjalnymi nurtami poezji przedwojennej. Poza Skamandrem i Awangardą. Brakuje w tym kręgu wielu nazwisk: Mrozowskiego, Iwaniuka, Janczarskiego czy Stachowskiego (choćby na prawach opozycji).

Myślę, że takie „profile", jakie zrobił Szymański w „Balladach przed burzą" trzeba by budować z materiału o wiele szerszego, dokopywać się głębiej, odszukać konflikty wewnętrzne, rzutujące na twórczość oraz konflikty w ramach tego, co poeta pisał. W przeciwnym razie sztuka montażu nie przyda się na nic. I jeszcze jedno. Autor może spotkać się z zarzutem — słusznym — że proporcje między stronicami cytowanymi a własnymi przemawiają na jego niekorzyść. Często razi mechaniczne podawanie obszernych cytatów spojone nikłą nitką autorskiego powiązania, a wielkie partie eseju sprawiają wrażenie surowca, który należałoby dopiero obrobić i podporządkować jednolitej koncepcji.

Skupienie krytycznej uwagi na najsłabszym fragmencie książki może wydać się niesprawiedliwością wobec autora. Uczyniłem to świadomie: najpierw — żeby wskazać na niebezpieczeństwo szablonu. Po drugie: że książka Szymańskiego jest w zamierzeniu ogromnie ambitna. Stanowi dowód ciekawych, niemal laboratoryjnych, prób i poszukiwań, jest ważną próbą odnowienia dróg krytycznych, mocno już wydeptanych. Podkreślić jeszcze trzeba jedną cechę: to rzadka uczciwość autorska wobec innych, która każe skrupulatnie odsyłać do każdego przywołanego autora czy utworu, i pokora — prowadząca niekiedy do usunięcia się w cień autora, który ustępuje miejsca innym.

Zwycięstwo Szymańskiego jako krytyka jest niewątpliwe. Dwa kapitalne eseje: „W połowie dwudziestolecia" i „Podróżny z dyliżansu filozoficznego" mogą być tego przykładem. W osobie Szymańskiego objawił się krytyk, który będzie się liczył. Jak na książkę pierwszą — to bardzo dużo *).

Tadeusz Kłak

*) Wiesław Szymański. Ballady przed burzą. Warszawa 1961 PIW s. 247.

Drogi Mój!

długo już, o, długo nie napisałem do Ciebie kilka słów: gdzie jestem, co robię, jak zdrowie moje. Osiem miesięcy długich. Dwa długie jesienne miesiące, trzy zimowe miesiące najdłuższe i jeszcze trzy wiosenne miesiące. Gdzie były tam dni takie, chwile i zapachy, na które trzeba znowu cały rok czekać — dwanaście miesięcy.

Teraz jest lato, drogi Mój. I pada deszcz. Godzina jest ósma wieczór. Za piętnaście minut będzie ósma piętnaście. Deszcz pada prosto. Wiatru nie ma najmniejszego. Mieszkam w Wałbrzychu od kilku dni. Za kilka dni będę mieszkał może gdzie indziej. W innym mieście. Deszcz może tam też padać. Ale może nie padać. Ale może będzie słońce padać. Słoneczne promienie.

Mieszkam w Wałbrzychu teraz, drogi Mój. Szedłem dzisiaj ulicą i sadza wpadła mi w oczy, deszcz jeszcze nie zaczął padać, musiałem co chwila górną powiekę nakładać na dolną, bo to jest dobry sposób jak coś wpadnie w oko: mucha, rzęsa, albo sadza właśnie.

Ludzie chodzili po ulicy. Tutejsi. Nie widziałem, żeby coś sobie robili z tego pyłu i sadzy. Ludzie tutejsi mają twarze, drogi Mój. Wszyscy prawie mają rysy, których widziałem. Nie wiem, czy zauważyłeś, drogi Mój, coś takiego: ci, którzy nie pracują, nie mają twarzy, nie mają rysów człowieczych. Tak samo ci, co dużo śpią, nie mają rysów, tylko jednakowe dosyć oblicza okrągłe. Nie wiem, czy zauważyłeś. Ludzie tutejsi pracują ciężko, drogi Mój. To są ludzie ciężkiej pracy. Wstają o czwartej niektórzy, kiedy koguty pieją drugi raz, a w lasach ptaki śpiewać co dopiero zaczęły.

Gdzie ja będę za kilka dni? Może w lasach będę za kilka dni — dałby Bóg lasów. Piskich albo boreckich lasów. Albo innych leśnych zastępów nieprzeliczonych. O, długo już nie napisałem do Ciebie kilka słów, drogi Mój. Długo już w lasach nie byłem żadnych prawdziwych. Długo już w domu nie byłem. Gdzie ja będę za kilka dni?

Na dworze pada ciągle. Godzina jest piętnaście po dziewiątej. Co to jest lato bez słoneczności, drogi Mój? A co to była za zima? — może mnie zapytasz. Właśnie. Co to była za zima bez śniegu? Co to są za pory roku niejasne?

Wyszedłem na dwór przed chwilą. Niebo jest całe czarne jednakowo. Nic się nie przejaśnia. Nie ma dziur na niebie ani tych obszarów niebieskawych, co to na pogodę są. I wiatru nie ma najmniejszego. On by tylko te chmury mógł rozpędzić. Będzie tak przez całą noc padać, a może i przez cały dzień jutrzejszy.

Zmokłem dzisiaj dosyć. Zapowiadało się na deszcz i kiedy zaczęło padać, to nie była żadna niespodzianka. Schowałem się najpierw, ale potem zachciało mi się zmoknąć, zachciało mi się iść po deszczu sobie, wolnym krokiem. Takie pragnienie. Zmokłem dosyć bardzo. Przyszedłem z mokrą głową do domu, w którym mieszkam, u ludzi prostych wspaniałych, wytarłem łeb ręcznikiem i zacząłem list ten do Ciebie, który już będę kończył chyba, choć mógłbym pisać i pisać, bo deszcz pada i pada, i jest taka atmosfera, i wszyscy już śpią w pokoju, bo ja w kuchni piszę, gdzie stoi moja leżanka, a na ścianach różne serwetki wiszą z napisami: „Co ja ugotuję, każdemu smakuje", „Nie mów nikomu, co się dzieje w domu", i różne jeszcze. Bardzo tu jest czysto i porządnie, każda rzecz ma swoje miejsce. Więc mógłbym tu pisać i pisać, jak Ci powiedziałem, ale przecież ja też muszę spać trochę i Ty musisz spać, więc kończę już i mówię Ci dobranoc, drogi Mój. Śpij dobrze.

Twój Edward Stachura

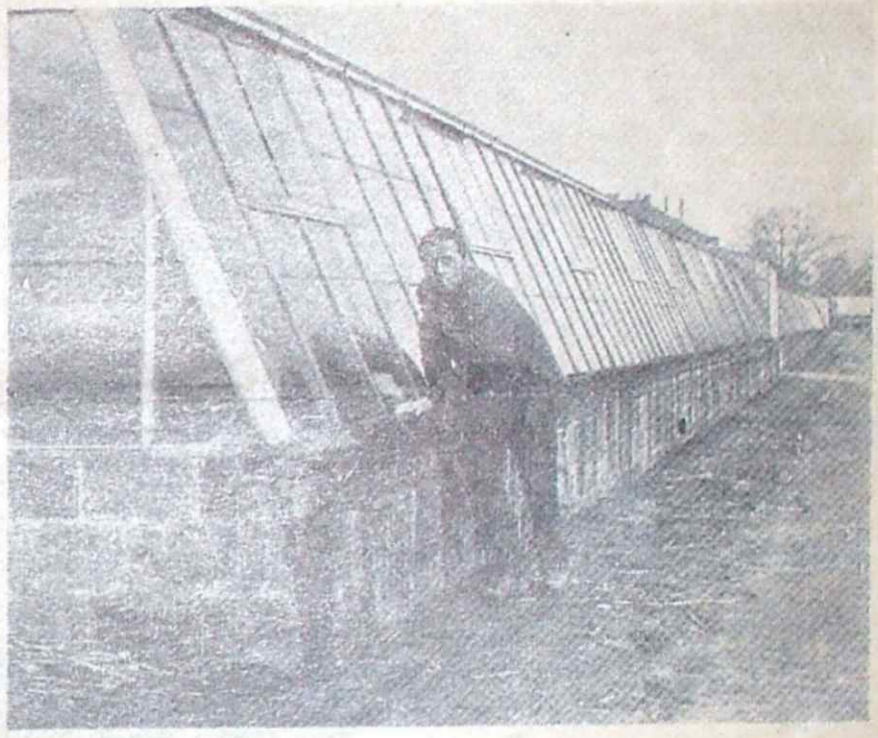

FESTIWAL FILMÓW POLSKICH

(Dokończenie ze str. 5)

Naprawdę powinniśmy życzyć zdrowia i dalszego powodzenia w pracy oraz w życiu osobistym temu, kto wymyślił wrześniowy FFP, jak również wszystkim tym, co go realizują, a imię im legion, trzeba to przyznać, gdy się weźmie pod uwagę kolosalną liczbę kinooperatorów wyjeżdżających blisko i daleko w powiaty, przyczyniających się nieustannie do przerabiania Polski B na Polskę A.

Wrzesień zaś roku 1961 był specjalnie predestynowany na pokaz dorobku naszej kinematografii, w której siłą rzeczy przeżytych tematyka antywojenna stanowi motyw przewodni.

Festiwal wrześniowy nie jest jednak tylko przypomnieniem naszej tragedii narodowej, jest on także pięknym, bogatym przeglądem naszych osiągnięć w młodej jeszcze sztuce. Teraz, kiedy wiele filmów polskich ukazuje się w glorii międzynarodowych nagród i wyróżnień, łatwiej nam dostrzec ich perły i perełki. Poznawajmy więc „swoje" i chwalmy co zasługuje na pochwałę.

W myśl tej zachęty głoszę też chwałę naszego Komitetu Organizacyjnego FFP przy Wydziale Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej, czuwającego nad sprawnym przebiegiem imprezy na Ziemi Lubelskiej i, last but not least — podziwiam energię Ekspozytury Centrali Wynajmu Filmów, która działa niezmordowanie w uroczym domku przy ulicy Wiejskiej, opisanym na wstępie niniejszego tekstu.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Z FILMU „WRZESIEŃ 1939 — TAK BYŁO" „DZIŚ W NOCY UMRZE MIASTO" (zdjęcie górne)

Widzi mi się

ODKRYWAM ROZTOCZE

JAK to już zazwyczaj bywa: co się ma nieomal w zasięgu dotknięcia ręką, tego się nie zna, bo to bliskie, bo zawsze tam wpaść na którąś z niedziel można. A tymczasem rok za rokiem płynie, człowiek w pogoni za pięknem natury odbywa bliższe czy dalsze podróże, a to najbliższe, właśnie przez swą bliskość, oddala się coraz bardziej.

O Roztoczu słyszałem już od dawna i wciąż się tam wybierałem, a dopiero w końcu tego sierpnia, zmuszony okolicznościami, spędziłem tam nie jedną, ale aż dwie niedziele, a w sumie dziesięć dni. Poznałem tylko część tej rozległej połaci Lubelszczyzny, podobno najbardziej malowniczą, i istotnie, jak to stwierdziłem, pełną osobliwego uroku.

Były to wczasy kolejowe w Suścu. Mieszkało się w połowie wagonu przerobionego na skromnie umeblowany pokój, do którego wchodziło się po schodkach. Wagon obok wagonu — na szynach jak pociąg, tylko że bez parowozu. Kiedy na pobliskiej stacyjce gwizdała lokomotywa i sczepione wozy turkotały jadąc w stronę Bełżca lub Zawady i nasze wagony zakołysały się nieraz, jakby w tęsknocie za ruchem protestując przeciwko narzuconej im tu stabilności. A wokoło las i mocny odurzający aromat sosen, i biały piaseczek na dróżkach biegnących pośród drzew żywicznych. Nasz wagon był jednym z ostatnich, najbardziej wysuniętych w głąb lasu. W odległości stu metrów, w stronę stacji — drewniany pawilon: jadalnia, do której wędrowało się trzy razy dziennie, i świetlica. Radio, telewizor i wcale sensownie zaopatrzona biblioteczka.

A ludzie — 125 osób, z których niemal połowę stanowiły dzieci — nasi sąsiedzi z bliższych i dalszych wagonów nie tylko z Lubelszczyzny, ale i z Warszawy, Krakowa, nawet Śląska i Torunia — wszyscy opętani szałem grzybobrania i suszeniem plonów swych niezbyt odległych wędrówek, bo „operowali" przeważnie w promieniu tylko paru kilometrów, nie oddalając się zbytnio od swego „pociągu". Toteż niejednemu z nich dość dziwna mogła się wydawać para nie pierwszej młodości, która gardząc grzybowym hobby wolała pół dnia spędzać na kilkunastokilometrowych wycieczkach.

Więc przede wszystkim lasy, lasy ciągnące się bez końca — sosny, jodły, świerki, modrzewie i urastające tu na stożkowate cyprysy — jałowce; rzadziej drzewa liściaste — buki, dęby, klony, a nad wodami olszyna. Nieprzebrane łany paproci, złośliwe i jeszcze skąpe w owoce zarośla jeżyn, mnóstwo grzybów i już jesienne kwiaty, najwięcej wrzosowego fioletu. A wszystko to pachnie w słońcu i tak odurza, że nozdrza mieszczucha przywykłe do woni dymu i benzyny nie mogą się nasycić tym leśnym aromatem.

Malownicze dolinki o łagodnych zboczach, wyżłobione przez potoki Jeleń i Łosiniecki, zwężają się miejscami tworząc dzikie parowy o urwistych piaskowych ścianach (gdybyż choć ojcowskie skałki!), o splątanej gęstwie roślinnej, w której gubi się ścieżka. A potok huczy (jakieś reminiscencje z dolin tatrzańskich) tworząc kataракty z największym dwumetrowym „szumem" Jelenia.

Urocze rozległe łąki wśród lasów, soczyste pustkowia zieleni, nad którymi ważą się w górze czyhające na zdobycz jastrzębie, wyprowadzają nad Tanew, już nie potok, ale prawdziwą rzeczkę, wijącą się zakolami, tworzącą meandry i na pewnej przestrzeni mniejsze niż na Jeleniu, ale również huczące „szumy".

Ale największym powabem tych zakątków jest ich bezludzie. Wsie rozrzucone rzadko, turystów prawie się nie spotyka choć nad wodospadem Jelenia zostawili niechlubne ślady swej bytności w postaci rozrzuconych papierów i rozgniecionych pomidorów. Tylko ptaki przerywają ciszę tych ostępów, czasem przebiegnie wiewiórka lub szuśnie spłoszony zając, widzieliśmy i sarnę.

Tak, tu się wypoczywa doskonale. Może to i lepiej, że brak schronisk, że znakowanie PTTK bałamutne, że wsi tak mało. Na razie jeszcze Roztocza dla turystyki nie odkryto. Obawiam się, że w niedalekiej przyszłości stać się może nawet modne. Klimat i krajobraz stanowczo temu sprzyjają.

X. Rovay

„A ja chwalę Lubelszczyznę..."

(Dokończenie ze str. 6)

Nie płacz mi, żono. Sny zbladły...
Duszę na oścież otwieraj:
Gwiazdy, co z serca mi spadły,
Pozbieraj...

Jan Pocek nie potrzebuje rekomendacji. Z Kalenia w powiecie puławskim, skąd pochodzi poeta, wiersze jego wędrowały do czasopism już od dawna, a w 1947 roku ukazał się jego tomik pt. „Zgrzebne pieśni". Jest on jednym z nielicznych poetów, którzy potrafią łączyć w swojej twórczości tradycję i nowoczesność, zaś na szczególne podkreślenie zasługuje jego oryginalna metaforyka.

Do wymienionych poetów należy niewątpliwie jeszcze dołączyć m. in. nazwiska Pauliny Hołyszowej ze Strupina w powiecie chełmskim, Władysława Kuchty z Mołodutyna, Józefa Bassy z Nowego Folwarku w powiecie chełmskim.

Zjazd w Nałęczowie odegrał bardzo poważną rolę w dziejach sztuki ludowej Lubelszczyzny, pozwolił poznać jej niedoceniane ostatnio wartości, odkryć wiele talentów i zdopingować te wszystkie czynniki, które odpowiedzialne są za mecenat nad kulturą regionalną. Dzięki temu Zjazdowi Wydawnictwo Lubelskie, które pod kierownictwem mgr Aliny Aleksandrowicz przygotowuje „Antologię ludowych poetów lubelskich", już na początek 1962 r. — postanowiło powołać do życia „Biblioteczkę Ludowych Poetów Ziemi Lubelskiej". Począwszy od najbliższego roku, poeci chłopscy naszego regionu otrzymaliby szanse publikowania 1—2 arkuszowych tomików, niezależnie od antologii. W pierwszej kolejności ukażą się najprawdopodobniej tomiki: Bronisława Pietraka, Stanisława Buczyńskiego, Jana Pocka, Władysława Kuchty, Pauliny Hołyszowej i Józefa Bassy. W ten sposób ocali się najbardziej wartościowe utwory samorodnego pisarstwa chłopskiego Lubelszczyzny, pozwalając przemówić jej twórcom pełnym głosem do czytelników, tych uczonych, i tych prostych, bo poezja ludowa powinna dotrzeć do wszystkich. Pisze o tym zresztą najlepiej sam poeta — Bronisław Pietrak i jemu też na zakończenie oddajemy głos:

Ten prosty wiersz dla wszystkich jest
I każdy go zrozumie,
I ten — co wykształcenie ma
I ten — co nic nie umie. *

Roman Rosiak

* *W dalszych numerach „Kameny" ukażą się wiersze kilku poetów Lubelszczyzny. (Redakcja).*

O czym pisała „Kamena" przed 25 laty

Wrześniowy nr 31 „Kameny" z r. 1936 zawierał artykuł Tadeusza Bocheńskiego „Kilka myśli o poecie, krytyku i czytelnictwie", wiersze Włodzimierza Słobodnika, Olgi Daukszty, Stefana Napierskiego, Wacława Iwaniuka, Czesława Janczarskiego i K. A. Jaworskiego, prozę Kazimierza Truchanowskiego, artykuł o poezji serbo-łużyckiej Julii Wieleżyńskiej i jej przekłady wierszy H. Zejlera, J. Ciszyńskiego i J. Skali, tłumaczenia S. Napierskiego (Henri Spiess) i K .A. Jaworskiego (Jean Moréas), przegląd poezyj K. A. Jaworskiego, Kronikę słowiańską i noty. Linoryt Zenona Waśniewskiego „Ponte dei Sospiri".

NOTY

JEDNODNIÓWKA CHEŁMSKA. Z okazji Dni Chełma Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej wydało jednodniówkę: „Ziemia Chełmska", licząca „24 stron" (sic!). Na treść interesującej publikacji składają się artykuły Tadeusza Dadosa „Chełm u progu tysiąclecia", Czesława Twardzika „Chełm pod banderą? — Całą naprzód!" informujący o rozwoju przemysłu i spółdzielczości w grodzie nad Uherką, Stanisława Skibińskiego „Średniowieczna osada „Zasłupie", mówiący o znaleziskach archeologicznych w okolicach tego osiedla prachełmskiego, Bolesława Rycerza „Chełm — przyszłość i perspektywy", z którego m. in. dowiadujemy się, że „na terenie miasta pracują dziś 34 zakłady przemysłowe", Stanisława Skibińskiego „Losy akt i archiwów chełmskich", Kazimierza Janczykowskiego „Dni Chełma we wrześniu 1961", gdzie autor uzasadnia istnienie tego miasta od 969 lat, i wybór dokumentów byłego Sądu Grodzkiego w Chełmie dający pewien obraz działalności rewolucyjnej na terenie powiatu chełmskiego w latach 1931—1938. Część literacką jednodniówki otwiera artykuł Czesława Twardzika o poetach chełmskich „I+16-stu czyli Pieśń o ziemi naszej", napisany z serdeczną lezką i żenującym tego „jednego", choć z pewnością szczerym subiektywizmem, wiersze K. A. Jaworskiego, Jana Szczawieja, Zenona Waśniewskiego, Wacława Mrozowskiego, Zdzisława Popowskiego, Ignacego Ignia Gąsiorowskiego, Czesława Mrozowskiego, Wacława Iwaniuka, Witolda Kasperskiego, Marka Adama Jaworskiego, Czesława Twardzika, Longina Jana Okonia, Mariana Narcyza Listowskiego i Kazimierza Eugeniusza Steszuka, interesujący, ciepło napisany esej Waldemara Babinicza „Góra chełmska", w którym autor w sposób migawkowy snuje różne wspomnienia związane z Chełmem w okresie caratu, pierwszej wojny światowej i okupacji austriackiej oraz dwudziestolecia międzywojennego. Część literacką uzupełniającą „Klechdy o tysiącletnim Chełmie" Longina J. Okonia, „Smyczkiem przez legendę" Leszka Eliaszczuka i obrazek satyryczny Czesława Twardzika „Dziura w kotle".

W jednodniówce liczne fotografie, reprodukcje grafiki Zenona Waśniewskiego, Tadeusza Ścibiora, rysunki tuszem Kajetana Sosnowskiego i Zofii Bodakowskiej, reprodukcja olejnego pejzażu Jana Lewczuka i przerywniki Franciszka Korzeniowskiego. Całość pomyślana bardzo ambitnie.

W RAMACH DNI CHEŁMA odbyło się 2 września spotkanie społeczeństwa chełmskiego z prof. dydaktyki Uniwersytetu Warszawskiego Wincentym Okoniem (wychowankiem miejscowego Seminarium Nauczycielskiego), z poetami chełmskimi i Waldemarem Babiniczem. Dawni uczniowie miejscowych szkół (zasadniczo Seminarium Nauczycielskiego, tylko Babinicz ukończył tutejsze gimnazjum) opowiadali o swoich drogach życiowych, o Chełmie ich młodości, czytali swoje utwory. W spotkaniu tym, które miało charakter małego zjazdu koleżeńskiego, wzięli również udział Witold Kasperski, prezes Zarządu Głównego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych, dziennikarz Wiktor Bazylewski i plastyk Kajetan Sosnowski (wystawę jego obrazów otwarto 3 września) — wszyscy wychowankowie chełmskiego Seminarium Nauczycielskiego.

PRZYKRE PRZEOCZENIE. Wśród odznaczonych w związku z 969-leciem Chełma przez chełmską MRN medalem „zasłużony dla miasta Chełma" nie zauważyliśmy nazwiska Kazimiery Pierackiej, która w ub. roku obchodziła 40-lecie swej pracy aktorskiej i reżyserskiej w Teatrze Amatorskim w Chełmie. A przecież chełmianie wiedzą dobrze, ile serca, wysiłku i talentu wkładała ona w ten teatr, który w swym repertuarze unikał szmiry i dostarczał mieszkańcom kulturalnej i poważnej rozrywki.

GAFFY. 969-lecie Chełma uwzględniła nie tylko „Kamena" w poprzednim numerze: w dodatku kulturalnym „Sztandaru Ludu" z dnia 2 września br. ukazała się cała kolumna poświęcona „wierszom poetów chełmskich". Redaktor „Kultury i Życia" w swej gorliwości przysłużenia się Chełmowi zagalopował się do tego stopnia, że do poetów chełmskich zaliczył również Bogu ducha winnego Tadeusza Bocheńskiego, który związany był jedynie z Lublinem i z Chełmem nie miał nigdy nic wspólnego, oraz dla okrasy do towarzystwa męskiego włączył rodzynek kobiecy w postaci własłowskiej piosenki pod pretensjonalnym tytułem „Etiuda".

LUDZIE, CO WYPRAWIACIE Z POLSZCZYZNĄ? W wierszu „Hiacynt" Wandy Bacewicz czytamy: „czymże by n i e był ...pozostanie pamięci". W „Wielkiej umiejętności dyskusji": „chodzi nie o książki Minkowskiego, a o tomiki wierszy" i „żył więcej j a k trzydzieści lat", a w recenzji „Tomu Bacewiczówny": „występuje tu nie ebraz, a personifikacja". K. Badziak pisze: „Niemcy rozbili w drebiezgi swego przeciwnika". To wszystko vide nr 56 „Współczesności".

WIERSZE TADEUSZA WOZNIESIEŃSKIEGO, które coraz bardziej się u nas popularyzują (ostatnio w n-rze 501 „Życia Literackiego" przekłady J. Maślińskiego, S. Pollaka, J. Litwiniuka i A. Sterna) i które uderzają nas swoją oryginalnością i świeżością, w całej pełni zasługują na wydanie ich w tomiku. Może PIW włączyłby je do jednej ze swych dwóch biblioteczek poetyckich.

Z PRAWDZIWĄ PRZYJEMNOŚCIĄ przeczytaliśmy w n-rze 35 „Nowej Kultury" wyróżnione na konkursie tego tygodnika opowiadanie Edwarda Stachury „Jasny pobyt nadrzeczny". W n-rze sierpniowym „Twórczości" proza tegoż autora listy „Listy do Olgi".

ZMARŁ LEONARD FRANK, znany u nas jeszcze przed wojną postępowy pisarz niemiecki.

ŚWIETNA POWIEŚCIOPISARKA CZESKA Jarmila Glazarowa obchodzi we wrześniu 60-lecie urodzin. Może przynajmniej z tej okazji czytelnicy polscy zapoznają się z jej prozą. Gorąco polecamy PIW czy Czytelnikowi jej powieści: „Roky v kruhach", „Wilcza jama", „Adwent" i „Biedną prządkę".

-kaj-

PAWEŁ JASIENICA, jeden z najbardziej popularnych naszych pisarzy, ukończył dalszy tom dziejów Polski, poświęcony epoce Jagiellonów. Już „Polska Piastów" zyskała uznanie czytelników przez swą rzeczowość i umiejętność współczesnego ujęcia naszej historii. W „Polsce Jagiellonów", okresowi na swój sposób dramatycznemu, wyznaczającemu nowy kierunek rozwoju państwa, Jasienica kreśli dzieje panowania dynastii litewskiej, obrazując jednocześnie społeczny, kulturalny i polityczny rozwój Polski. Jego świetne pióro i zdumiewająca spostrzegawczość, jak i pasja publicysty pozwoliły na odtworzenie tego okresu w sposób fascynujący, pełen napięcia i znakomicie zarazem udokumentowany.

Druk „Polski Jagiellonów" rozpoczyna tygodnik „Nowa Kultura" i ten fakt stanie się zapewne sensacją czytelniczą jesieni 1961 roku.

ROZWIĄZANIE
III KONKURSU „KAMENY"
POD HASŁEM
„WIEDZA POMAGA W ŻYCIU"

Konstanty Ildefons Gałczyński

OJCZYZNA

Kraju mój, kraju barwny
pelargonii i malwy,
kraju węgla i stali,
i sosny, i konwalii,
grudka twej ziemi w ręku
świeci nawet po ciemku;
tyś mój w śniegu, w spiekocie,
tu dziad spoczął, tu ojciec;
trawa, trawa szmerliwa
białe kości okrywa.

Wyrazy pomocnicze

A. Księga pieśni	N. Zaratustra
B. Owidius	O. YMCA
C. Nałkowska	P. Niemcewicz J. U.
D. Sartre P.	Q. Swejk
E. Tuwim	R. Kajka
F. Ariosto	S. Ilion
G. Norwid	T. Ojciec
H. Troja	U. Joteyko
I. Yeats	V. Cyrulik
J. Ilja	W. Zweig
K. Garibaldi	X. Ysąw-wąsy
L. Augier	Y. Zola Emil
Ł. Łuk	Z. Nimb
M. CUPIK	Ch. Ampere

Nagrody książkowe w wyniku losowania otrzymują następujący autorzy prawidłowych odpowiedzi: Anna Brzezicka, Czesław Dobrowolski, Irena Harhalowa, Anna Łajzen, Zofia Matyaszewska, B. Mahles, Edmund Parcheta, Alina Pietroń, Hieronim Pietroń, Zofia Polichowa, Marian Pszczoliński, Marek Szeja, B. Skirmunt, Joanna Szcześniewska, Halina Szpajzer, Henryk Wiedro.

Prosimy zgłaszać się po odbiór nagród do Redakcji „Kameny", Lublin, Graniczna 1-c, w godzinach 11—15.

Odpowiedzi Redakcji

E. Szym. w Solcu Kujawskim. Nie skorzystamy.

„Bill" w Lublinie. Prosi Pan o ocenę. Stosunkowo najlepszy symboliczny „Krzyż przydrożny", ale nie nadaje się jeszcze do druku. „Noc" — słabsza, a „Białe bzy" z tym rock and rollem i calypso uczuć i „nadepniętym" sercem — beznadziejne.

E. Zarz. w Łodzi. Niestety, brak miejsca.

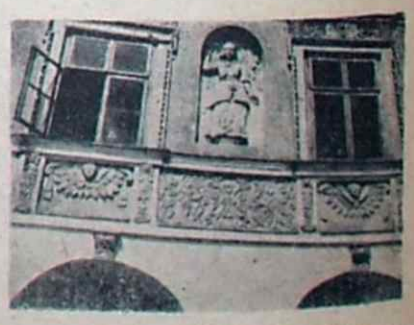

Motyw ze starego Zamościa

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" * Redaguje Kolegium * Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich * Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c * Telefon: 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 3528. 2.IX.61 r. Nakład 1200. W-3.